Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 25 zł.

Gdańsk
Elżbietańska 3
I

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

J. LITWIN — Utopia zrodzona z krytyki kapitalizmu
Ł. KURDYBACHA — Kler przeciwko Komisji Edukacyjnej
St. MARCZAK-OBORSKI — Wśród Janków Muzykantów
E. NIZIURSKI — Literatura radzieckiej Azji
M. JANION — Droga do Partii
W. KOWALSKI — Polowanie
Z. WASILEWSKI — Kulisy mieszczańskiego żywota

Rok VI

Warszawa, dn. 20 listopada 1949 r.

Nr 47 (226)

Uniwersytet Gdański Biblioteka
CW 9037

1904 r.

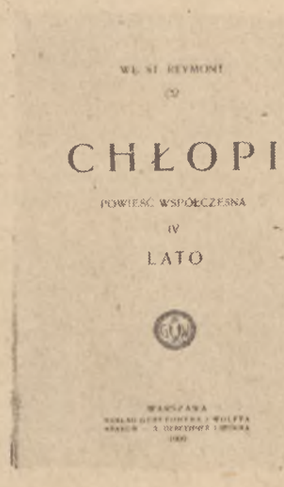

1909 r.

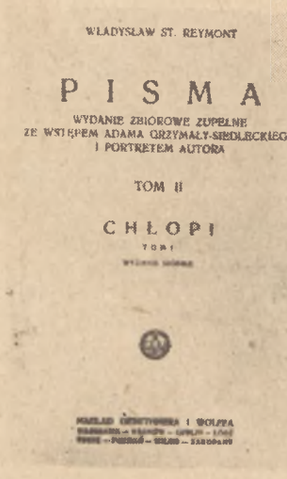

1928 r.

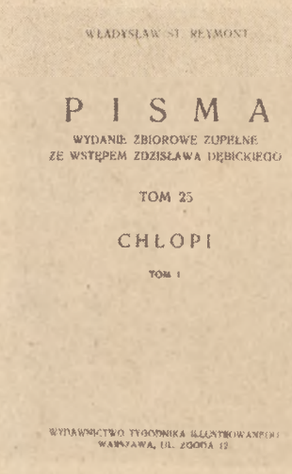

1932 r.

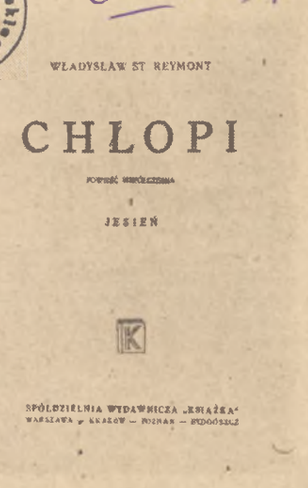

1946 r.

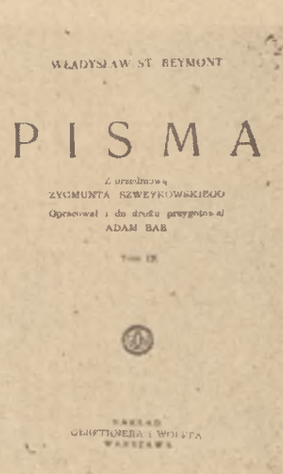

1948 r.

LEONARD SOBIERAJSKI

A JEDNAK BRONIĘ „CHŁOPÓW" REYMONTA IV*)

Gdy próbujemy dziś klasowo ustalić nasz stosunek do spuścizny literackiej, gdy w związku z tym rozważamy dzieła naszych klasyków — musimy pamiętać o jednym, by nie popełnić błędu uproszczenia i zwulgaryzowania zagadnienia. Pierwszym niebezpieczeństwem byłoby poprzestanie na stwierdzeniu, że przecież dzieła tych klasyków są uwarunkowanę panującą w czasie ich powstawania ideologią klas posiadających, a więc ziemiaństwa czy burżuazji w polskim wydaniu (ziemiaństwo w zroście ze sferami przemysłowo-handlowymi przy usługach ówczesnej inteligencji zawodowej). Bo wniosek stąd dla dzisiejszego konsumenta wartości kulturalnych, tworzącego nową inteligencję właśnie z robotników, właśnie z chłopów, właśnie z pracowników technicznych i humanistycznych — mógłby być błędny i zamykać się w żądaniu: nie przywracajcie nam historycznej sztuki ani literatury, bo wyraża ona szlachecką czy burżuazyjną teorię kultury, przenosi nadal wrogą nam ideologię, stanowi zagrożenie w kształtowaniu się naszej osobowości społecznej i kulturalnej. Odeślijcie tę sztukę i literaturę na półki zakładów naukowych.

Nasza polityka wydawnicza jednak jest inna. Państwo Ludowe kładzie dziś duży nacisk na odbudowę książki. „Państwowy Instytut Wydawniczy", „Książka i Wiedza", „Czytelnik" czy zasłużone firmy prywatne jak „Książnica Atlas", „Gebethner i Wolff" — wydają zbiorowo naszych klasyków: Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Żeromskiego, Reymonta, Orkana. Dzieła tych pisarzy wyrażają w części lub całkowicie ideologię burżuazyjną, dzieła tych pisarzy stanowią jednak w naszym dorobku literackim poważne osiągnięcia artystyczne. I tu jest właśnie problem. Jak to się dzieje, że twórczość, którą w pewnym stopniu wyznaczyła ideologia burżuazyjna, przedstawia dziś dla nas literacki poziom, który nie może być kwestionowany, przedstawia dorobek, z którego nie wolno nam rezygnować. Bez pretensji do wyczerpania sprawy postaramy się to zagadnienie wyjaśnić na reymontowskich „Chłopach".

Poprzednio ustaliliśmy, że konstrukcja „Chłopów" była zdeterminowana burżuazyjną koncepcją wsi. Postulowała ona obraz chłopstwa, zgodny z interesami klasy panującej, ale postulowała równocześnie dzieło, które ogólnie powinno dawać wrażenie prawdy o rzeczywistości, powinno zdobyć się na taki wyraz artystyczny, który by czytelnika przekonał, który by potrafił mu narzucić te podstawowe treści, jakie w takim dziele powinny się znaleźć. Stąd konieczność dania luzu autorowi, stąd zgoda na pewne momenty, które naniesione w powieść z obiektywnej rzeczywistości, mają w oczach czytelnika weryfikować całość obrazu. „Chłopi" Reymonta takie luzy posiadają. I one właśnie dla nas ratują dzieło, pozwalają z niego odczytać obraz wsi z przełomu XIX i XX wieku, pozwalają ujrzeć chłopstwo, wciągane w ustrój liberalno-kapitalistyczny.

LIPCE WIEŚ ROZWARSTWIONA

Autor „Chłopów" znał środowisko wiejskie z bezpośredniego doświadczenia. Datuje się ono z czasów, gdy jako funkcjonariusz kolejowy (1892—93 musiał spędzić dwa lata na małej stacyjce, opierającej się o podskierniewicką wieś. Stąd właśnie zebrał materiał obserwacyjny, który zużył literacko w swoim dziele.

A więc Lipce — wieś kongresowiacka z ostatnich lat XIX wieku. Jaka w powieści odkrywa się o nich prawda? Powiedzieliśmy już, że ta prawda nie mówi o postawie autora, była ona w mniemaniu jego ideologicznych przyjaciół złem koniecznym, była dopuszczalna, by dzieło nie stało się martwe, artystycznie nieudane. Dzisiaj z dzieła możemy wydedukować układ społeczny Lipiec, możemy poznać stosunki w nich wówczas panujące, możemy odcyfrować procesy w nich się dokonywujące. Rozpocznijmy od problemu rozwarstwienia.

W Lipcach reymontowskich widzimy warstwę bogaczy wiejskich jak Boryna, wójt, młynarz, ks. Dobrodziej, Płoszka; widzimy dość liczną grupę średniaków, których reprezentują: Kłębowie, Balcerkowie, Paczesiowie; widzimy wreszcie drobnorolnych jak zięć Bylicy, Gulbasów, Wachników i zgoła już biedotę wiejską w rodzaju Kobusa, Kozłów, nie mówiąc już o wypchniętej „na żebry" Agacie i starym Bylicy.

Pozycja ekonomiczna pierwszych jest dobra. Prowadzą oni dostatnio domy, na jedzenie i ubranie sobie nie skąpią. Boryna ma uciułany kapitalik (około 400 rubli), młynarz i organista kształcą dzieci. Ich pozycja gruntuje się na dochodzie z ziemi jak u Boryny (30 mórg) czy wójta, na przedsiębiorstwie jak u młynarza czy wreszcie na systemie „uświęconego wyzysku" jak u organisty czy ks. Dobrodzieja. Średniacy lipeccy ledwo wiążą koniec z końcem. Okres przednówka jest dla nich bardzo ciężki. Brakuje im nawet kartofli, muszą wyprzedawać inwentarz. Są wśród nich liczne rodziny, grozi im więc opadnięcie do pozycji drobnorolnych. Drobnorolni żyją w nędzy, ich rzadkim źródłem zarobku jest sezonowa praca u bogaczy. Jedyną pokazaną przez Reymonta ich szansą jest zajęcie przy wyrębie dworskiego lasu.

SYSTEM WYZYSKU

Gospodarstwa: Boryny, wójta, młynarza czy Dobrodzieja pracują siłami najemnymi — stałego parobka czy służących oraz pomocą donajętą do pilnych robót, przeważnie z tytułu tak zwanego odrobku za zagon pod kartofle. Przypominamy sobie, jak stary Boryna przeprowadzał z parobkiem Kubą nową umowę o pracę na następny rok kalendarzowy. Roczne „zasługi" służącego Boryny za jego ciężką i oddaną pracę wystarczały ledwo na sprawienie baraniego kożucha. Dla określenia podstaw dochodowości „ofiarnie i wzorowo" prowadzonego przez Hankę gospodarstwa wystarczy zacytować pierwszy lepszy fragment z powieści nazwanej przez krytyków „prace i dnie chłopa polskiego":

„...Hale, powiedźcie Kobusowej (Hanka rozmawia z pośrednicą Jagustynką), *że zagony pod kapustę dam i Pietrek gnój od niej wywiezie i zaorze, ale po cztery dni odrobku z jednego! Przy sadzeniu ziemniaków odrobiłaby połowę, a resztę we żniwo.*

— Kozłowa też chciałaby zagon pod len na odrobek. — Tyla odrobi co pies napłacze. Niech se kaj indziej szuka, dosyć się łoni naszczekali przed całą wsią na ojca, że ja ukrzywdził.

— Ech wam do apetyty, wasz gront to i wasza wola! Filipka tu wczoraj podczas waszych rodów zachodziła, o ziemniaki.

— Za pieniądze chciała?

— Odrobiłaby; tam grosza w chałupie nie poświęci, głodem przymierają.

— Z pół korczyka do jedzenia zara niech weźmie a potrza jej więcej, to dopiero po sadzeniu, boć niewiada wiela ostanie. Przyjdzie Józka to odmierzy, boć robotnica z Filipki, no!... zbywa jeno...

— A z czego to nabierze mocy? Nie doje, nie dośpi, a co rok rodzi..." 1)

O tym jak w Lipcach funkcjonował system „uświęconego wyzysku" najbardziej wymownie mówi jeden choćby drobny fakt. Przypominamy sobie, co Witek zrobił ze złotówką, jaką otrzymał od Dobrodzieja — poniósł ją organiście „na wypominki". Siła świadczeń na rzecz plebanii była na wsi tak ugruntowana, że kazała biednemu znajdzie oddać jedyny posiadany grosz w ręce wyzyskiwaczy, którzy na tych świadczeniach budowali swój dobrobyt. Szczególną metodę wyzysku wypracował sobie młynarz. Ten w okresie przednówka dawał na tak zwany „borg", by później odbierać należność w zbożu, dyktując za nie cenę według własnego uznania. Tutaj [illegible] sześć jajek za przeczytanie listu, Witek pracuje u Boryny za strawę i dach nad głową... w stajni. Ślepiec wędrowny miskę zupy w domu Boryny musi odrobić kręceniem powróseł, byle parcela od biedoty nie doznała uszczerbku.

GRUPA PRZEDSIĘBIORCÓW

Całe Lipce trzymają gospodarczo i politycznie w swojej garści kułacy (Borynowie, wójt, wysuwa się Płoszka) i „przedsiębiorcy" (młynarz, kowal, Dobrodziej). Między nimi istnieje znakomite porozumienie, gdy chodzi o zorganizowanie wyzysku w stosunku do biedoty wiejskiej. Czasem dochodzi do konfliktu w wypadku konkurencyjnych posunięć, jak np. między młynarzem i dobrodziejem, bo ten ostatni „inwestuje" w buhaja, gdy dotychczas monopol na pokrywanie lipeckich krów miał młynarzowy „byczek". W rękach kułaków i „przedsiębiorców" koncentruje się kapitał, oni prowadzą każdą akcję gospodarczą w Lipcach. Gdy dziedzic przystępuje do wyrębu lasu, młynarz uruchamia tartak, podejmuje się również stworzyć jakby „towarzystwo transportowe" dla przewozu drzewa. Zaprasza do „towarzystwa" bogaczy lipeckich, posiadających dobre konie i mocne wozy, a więc Borynę, wojta, Dobrodzieja, organistę. W tej nowej sytuacji kowal widzi tak poważną możliwość zarobku, że część swojego kapitaliku inwestuje w „narzędzia zysku" konie i wóz. Kowal to wiejski pośrednik w każdej „handlowej sytuacji". Oddaje on swoje usługi dworowi, kolonistom niemieckim, chłopom lipeckim, jak popadnie, jak się nadarzy okazja. Kuźnia i rola pośrednika przynosiła mu nienajgorszy profit. To on właśnie kupuje najlepszą, dwudziestomorgową działkę na rozparcelowanym Podlesiu, to on będzie na nowym gospodarstwie budował wiatrak, by wyrwać młynarzowi tym razem monopol na przemiał. Ks. Dobrodziej jak powiedzieliśmy uciułane ze świadczeń swoich parafian 300 rubli obraca na kupno rasowego buhaja z myślą — jak sugeruje — podniesienia rasowości lipeckich krów. Inwestowane 300 rubli nienajgorzej będą procentowały, jedno „puszczenie" rasowego byczka przynosi ks. Dobrodziejowi rubel i dwadzieścia kopiejek.

FIKCJA SOLIDARNOŚCI GROMADZKIEJ

Krytyka burżuazyjna przy omawianiu „Chłopów" niesłychanie zawsze podkreślała solidarność gromady lipeckiej, traktując tę gromadę, jako jakąś organiczną całość. Reymont rzeczywiście robił duże wysiłki, żeby takie wrażenie narzucić czytelnikowi. Jednak rzeczywistość „przemyciła się" w dzieło. Widzimy właściwie, że Lipce są wsią o narastających sprzecznościach wewnętrznych. Istnieje w nich już ostry podział klasowy, który doprowadza do tego, że niszczy nawet wspólną platformę działania politycznego przeciwko dworowi. Łatwo to udowodnić na Borynie. Ten widzi swój interes nie w wystąpieniu razem ze średniakami i biedotą, widzi go w prywatnym dogadaniu się z dziedzicem. Czujnie on obserwuje, jakie stanowisko zajmują w konflikcie z dworem „przedsiębiorcy". Jest skłonny iść za nimi, bo rozumie, że oni mają dobre wyczucie „interesu". Właśnie ten motyw kieruje bogaczem lipeckim z końca XIX wieku; nie ogólny interes gromady, ale prywatny, jednostkowy zysk kapitalisty wiejskiego.

Jak wygląda solidarność gromady lipeckiej, widzimy w „Chłopach" niejednokrotnie. Przytoczymy jeden moment. Dziedzic „przyciśnięty do muru" koniecznie chciałby pójść na ugodę z Lipcami. Warunki ugody: Chłopi zrzekają się praw do lasu, w zamian za to otrzymają nadziały ziemi. Zdajemy sobie sprawę, jak

(Dokończenie na str. 2-ej)

* Patrz „Wieś" nr. 44, 45, 46.

1) Pisma zbiorowe Wł. St. Reymonta. Rok 1932, tom 31, str. 214.

„ORŁY WOLNOŚCI WRACAJĄ DO SWOICH GNIAZD BY STAĆ NA STRAŻY ICH BEZPIECZEŃSTWA"

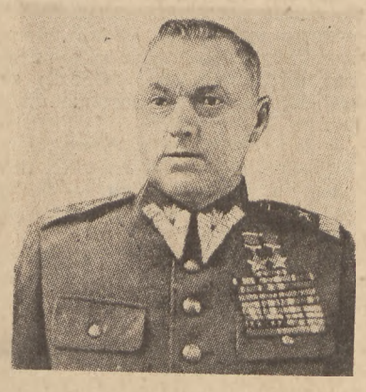

Marszałek Polski Konstanty Rokosowski

„Konstanty Rokosowski urodził się w Warszawie w roku 1896. Ojciec jego, Ksawery, był kolejarzem..."

Biografia rozpoczyna się po prostu. Jak tysiące innych. A jednak jest to biografia, którą warto studiować, biografia — dokument historyczny.

Są biografie, na których odbija się jak na czułej kliszy — obraz wieku. Życiorys Rokosowskiego nosi wszelkie cechy opowieści o dziecięciu epoki, w której załamał się stary świat i narodził nowy. Życie stawiało Rokosowskiego w miejscach węzłowych, które wyznaczały historię ostatnich lat pięćdziesięciu.

Jest ono tak ściśle związane z klasą robotniczą, że biografia Rokosowskiego to zarazem żywa ilustracja dziejów proletariatu ostatniego półwiecza. Droga życiowa Rokosowskiego ma dwa etapy, między którymi punktem zwrotnym jest Rewolucja Październikowa.

W roku 1904 umiera Konstantemu ojciec na skutek katastrofy kolejowej.

Takie momenty wychwytuje machina kapitalistyczna, by zacieśnić ucisk klasowy. Pozbawiona jakiejkolwiek opieki społecznej rodzina Rokosowskiego staje wobec widma nędzy. Umiera siostra Konstantego Maria. Matka Konstantego musi zasilić szeregi robotnicze i pracuje w fabryce pończoch. Siostra Konstantego, Helena podejmuje pracę w wytwórni sztucznych kwiatów. W roku 1910 umiera matka. Konstanty musi przerwać naukę i wstąpić na opróżnione przez matkę miejsce w szeregach robotniczych. Ustrój wyznaczył mu funkcję taniej siły roboczej. Konstanty zaczyna pracować w fabryce trykotarskiej przy ulicy Szerokiej.

Następnie przenosi się do warsztatów kamieniarskich majstra Wysockiego na Pradze i jako kamieniarz pracuje przy budowie późniejszego mostu Poniatowskiego.

W roku 1912, kiedy całe imperium carskie ogarnia fala strajków, kiedy ramię w ramię z robotnikami Moskwy i Piotrogradu strajkują robotnicy Warszawy — młody Rokosowski wraz z towarzyszami bierze udział w potężnej demontracji robotników. Aresztowany — koleją tylu innych rewolucjonistów przechodzi chrzest więzienny na Pawiaku.

Oto surowe w swej prawdzie klasowej — dzieje dziecka robotniczego.

Pierwszy etap życia Rokosowskiego demaskuje obłudę burżuazyjnej bajki o samoczynnym awansie społecznym w ustroju kapitalistycznym — jest to natomiast ostrym potwierdzeniem prawdy o barykadzie, jaka dzieli wrogie klasy kapitalistycznego świata, o nieprzekraczalności granic klasowych, jest to przykładem jak hartowała się rewolucyjna młodzież robotnicza tamtych czasów.

W czasie wojny światowej powołany do ciężkiej służby w armii carskiej toczy Rokosowski walkę z Niemcami. Potem pułk, w którym służył, zostaje przeniesiony do Rosji. Rokosowski, któremu wojna otworzyła oczy na wiele spraw, który już wtedy wiedział, gdzie kryje się zło świata — styka się z rewolucyjnymi agitatorami w wojsku. Poznaje teraz środki walki ze złem. Poznaje rewolucyjną naukę Lenina i Stalina. Rozumie, że zwycięstwo Rewolucji w Rosji rostrzyga również losy jego Ojczyzny-Polski, że służąc rewolucji, jak tylu innych Polaków z Dzierżyńskim na czele, służy Polsce. Rozumie ogólnoludzkie — internacjonalistyczne znaczenie obalenia władzy kapitalistów na szóstej części globu.

Dlatego od chwili wybuchu Rewolucji znalazł się w jej szeregach. Wspólnie z innymi rewolucyjnymi żołnierzami przekształca pułk, w którym służył na jednostkę Czerwonej Gwardii.

Walcząc zwycięsko przeciwko kontrrewolucjonistom w Wołogdzie, na Uralu i na Syberii awansuje na stanowisko dowódcy pułku i zdobywa zaszczytne odznaczenia bojowe.

Okres po zwycięstwie Rewolucji Rokosowski poświęca studiom wojskowym, kończąc Wyższą Szkołę Wojskową w 1925 r. i Wyższe Akademickie Kursy Sztabu Generalnego w 1929 r. Sławny kawalerzysta z czasów wojny domowej przemienia się w wykwalifikowanego czołgistę i szybko awansuje. W 1941 r. Konstanty Rokosowski jest dowódcą korpusu pancernego w stopniu generała majora.

Uczeń genialnej strategii Stalina przeszedł kampanię drugiej wojny opromieniony sławą dwukrotnego bohatera Związku Radzieckiego i niepokonanego dowódcy. Stalin powierza mu najbardziej odpowiedzialne odcinki frontu. Rokosowski jest dowódcą XVI Armii, broniącej dostępu do Moskwy od strony sławnej szosy Wołokołamskiej. Wiadomo, że bitwa pod Moskwą była pierwszym przełomem w tej wojnie i klęską Niemców. Drugi przełom to Stalingrad. I tu powierzył Stalin Rokosowskiemu zasadnicze zadanie.

Jako dowódca Frontu Dońskiego generał Rokosowski był tym, który odciął niemieckie armie marszałka Paulusa i zamknął je w stalowym „kotle" a następnie rozbił i zniszczył.

Później nastąpiła trudna lecz zwycięska droga bojowa od Stalingradu do Warszawy. Zwycięzca spod Kurska, oswobodziciel północnej Ukrainy i Białorusi, jako dowódca Pierwszego Frontu Białoruskiego otacza i niszczy bobrujskie ugrupowanie hitlerowców. U jego boku i pod jego dowództwem walczy Pierwsza Armia Wojska Polskiego. 22 lipca 1944 roku Rokosowski wyzwala Chełm i tym samym umożliwia ukonstytuowanie się pierwszej władzy ludowej w Polsce — Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. W sierpniu 1944 r. Rokosowski dociera do Warszawy, do tej samej Warszawy, swojego rodzinnego miasta, w którym się wychowywał i gdzie wznosi się most Poniatowskiego, przy którego budowie sam niegdyś pracował, most ochrzczony imieniem Poniatowskiego — marszałka Francji i Polski. Czy historia się powtarza? Nigdy tak samo! Jak zamazany jest obraz narodowej funkcji walk, które prowadził książę pod nieszczęśliwym znakiem cesarza francuskiego mieszczaństwa, dziś po surowej krytyce długich lat historii! W 1944 roku wyzwalał Polskę syn ludu polskiego, nie na służbie egoistycznych celów obcego cesarza, lecz na czele socjalistycznej armii niosącej wolność i braterstwo wszystkim uciśnionym ludom świata, wolność nie tylko narodową lecz i uwolnienie od ucisku społecznego, na czele armii, która niosła nie mgliste perspektywy wolności, lecz gwarancję silnej Polski z granicami na Bałtyku, Odrze i Nysie.

Granice te wywalczył marszałek Rokosowski, jako dowódca II Frontu Białoruskiego — zdobywając Prusy Wschodnie i Pomorze z Toruniem, Gdańskiem i Szczecinem.

Po zakończeniu działań wojennych Marszałek Rokosowski interesuje się żywo odbudową Polskiej Ojczyzny i bierze osobisty udział w szeregu uroczystości narodowych.

Dziś Prezydent R. P. mianował Marszałka Rokosowskiego Marszałkiem Polski i Ministrem Obrony Narodowej. Trudno wyobrazić sobie bardziej godne obsadzenie tego stanowiska. Najwybitniejszy żołnierz-Polak zajął najwybitniejszą pozycję w aparacie obrony kraju.

Lud Polski wdzięczny jest Generalissimusowi Stalinowi, że ulegając prośbie Rządu Polskiego zgodził się, by jeden z jego najzdolniejszych uczniów stanął na czele polskich sił zbrojnych i widzi w tym wymowny dowód pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej oraz gwarancję wzmożenia obronności kraju.

DM 241 02

Bułat Jan — Orka. Z I-szej ogólnopolskiej wystawy plastyków amatorów. (fot. L. Żukowski)

(Dokończenie ze str. 1-szej)

to rozwiązanie niesłychanie już różnicowało gromadę. Udział w dworskim lesie był proporcjonalny do ilości posiadanego przez poszczególnych chłopów gruntu. Inny był udział 30-to morgowego Boryny, a inny 3 morgowego zięcia Bylicy. W związku z tym i wyrównawcze nadziały przedstawiały się podobnie z tym, że bezrolni praw do lasu nie mieli żadnych, a więc nic by nie skorzystali na „załatwieniu problemu serwitutów'". I tu pęka wspólnota interesów. Nie całe Lipce mają powód do uciechy:

„Cieszyli się tak galancie (szansą na ziemię)*", co już niejeden ino oczy bałuszył i ozorem ledwo ruchał, zaś Kobus, któren cały czas pary z gęby nie puścił, jął naraz chytać ludzi za ożydla i krzyczeć.*

— A komorniki to co? Psi pazur. I nam się należy ziemia! Nie dopuścim do zgody! Po sprawiedliwości być musi! Jakże, to jeden ledwie już spaśny kałdun udźwignie, a drugi ma zdychać z głodu? Porówno musi być ziemi la wszystkich! Dziedzice ścierwy! Niejeden gołym zadem łyska, a nos drze do góry, jakby ciągiem kichał! Kołtuniarze zapowietrzone! — krzyczał coraz głośniej i tak nieprzystojnie wszystkim przymawiał, jaże go wyciepnęli za drzwi, ale jeszcze przed karczmą klął i wygrażał".

Sprawa drobnorolnych i komorników ukryła się wstydliwie i w sytuacji organizowanej przez Dobrodzieja i Rocha „pomocy sąsiedzkiej" dla Lipiec, gdy chłopi lipeccy siedzą w więzieniu i ziemia pozostaje nieuprawiona. Akcja — powiedzieliśmy — kierował Dobrodziej i Rocho. Przydzielili oni chłopów z sąsiednich wsi do pracy w gospodarstwach... zaraz zobaczymy jakich:

Kobieta w zapasce
Wincenty Kitowski (Kieleckie)

Fragment obrazu ludowego

„Właśnie byli kole kowala, skręcali na drugą stronę wsi, kiej im zastąpiły drogę zapłakane komornice, z Kozłową na przedzie.

— A to dopraszam się dobrodzieja, szlim pytać: czy to nam chłopy pomagać nie będą?

Zaczęła hardo, podniesionym głosem.

— Bo czekalim, że i na nas przyjdzie kolej, a oni odjeżdżają...

— I my sieroty ostaniem przez żadnego wspomożenia... — wraz mówiły.

Ksiądz zafrasował się, srodze poczerwieniawszy.

— Cóż wam poradzę?... nie wystarczyło dla wszystkich... i tak całe dwa dni poczciwie pomagali... no, mówię... — bełkotał, latając po nich oczyma.

— Juści! pomagali, ale gospodarzom, bogaczom jeno... — zaszlochała Filipka.

— Nama jako zapowietrzonym nikto się nie pokwapił wspomóc...

— Nikogoj głowa nie zaboli o nas, sieroty...

— Żeby choć kilka pługów do ziemniaków, to i tego nie! — szeptały łzawo.

— Moiście... odjeżdżają już... no... zaradzi się jakoś... prawda, że i wam ciężko... i wasi mężowie z drugimi... no, mówię, że się zaradzi...

— A o czem to będziem czekać tej pomocy?... a jak się jeszcze i tego ziemniaka nie wsadzi, to już ino postroneczka szukać! — zawiedła Gulbasowa.

— No, mówię, że się zaradzi... Dam wam swoich koni, choćby na cały dzień, jeno mi ich nie zgońcie... młynarza też uproszę, wójta, Boryny, może dadzą...

— Może! Czekaj tatka latka, jaż kobyłę wilcy zjedzą! Chodźta kobiety, nie skamlajta po próżnicy!... żebyśta nie potrzebowały, toby wama dobrodziej pomogli... La gospodarzy jest wszystko, a ty biedoto, kamienie gryź i łzami popijaj! Owczarz jeno stoi o barany, bo je strzyże, a z czegóż to nas oskubie, cheba z tych wszy! — wywierała pysk Kozłowa, jaże ksiądz zatkał uszy i poszedł".

PAUPERYZACJA CHŁOPÓW LIPECKICH

Prof. Krzyżanowski w swojej monografii o Reymoncie (1937 r.) podkreśla, że Lipce wciągane w system kapitalistyczny — klasowo coraz bardziej się różnicują, że wsi grozi peuperyzacja, że coraz więcej ma ona bezrolnego proletariatu. Rzeczywiście z „Chłopów" Reymontowskich ta prawda się odkrywa. Reymont — wyznawca ideologii burżuazyjnej, był — jak powiedzieliśmy — kliszą, na której „wywoływały się" te momenty, które z punktu tej ideologii były do podkreślenia, ale Reymont - artysta, był i „przechadzającym się po gościńcu zwierciadłem" i wtedy choćby dla prawdy artystycznej przenikały w dzieło i te momenty, które były zgodne z rzeczywistością historyczną wsi. I w związku z tym zagrała w dziele sprawa pauperyzacji wsi. Wpływały na nią czynniki: zewnętrzne i wewnętrzne. Z pierwszych niedorozwinięty w Polsce kapitalizm, zepchnięcie kraju do roli półkolonii; z drugich — wzmacnianie się na wsi systemu kapitalistycznego wyzysku, koncentracja kapitału w rękach bogatych chłopów i przedsiębiorców wiejskich, wreszcie działy rodzinne. W dziele Reymonta widzimy najwyraźniej problem ostatni. Nie tai on nędzy podstawowych mas chłopskich. Na kartach książki ciągle spotykamy się z ujawnieniem sytuacji ekonomicznej drobno i średniorolnych chłopów. Pierwsi znajdują się w trwałej nędzy, drugim niedostatek dokucza na przednówku, a poza tym zagraża rozdrobnienie rodzinnej parceli i w konsekwencji także utrwalona nędza.

Podajemy dla ilustracji sytuację siostry Hanki Borynowej — jako reprezentatywną dla drobnorolnych i sytuację Kłębów — reprezentatywną dla średniaków na przednówku. Oto fragment rozmowy między Hanką i jej siostrą *Weronką:*

— „Przelewa się to u mnie czy co? Dzieciom to pewnie odejmę od gęby, a jemu dam?

— Należy mu się wycug od ciebie, nie baczysz?

— Jak nie mam, to z jelit sobie nie wypruję.

— A wypruj i daj, ojciec pierwszy. Nieraz mi się skarżył, że go głodem morzysz i o świnie więcej dbasz, niźli o niego.

— Prawda była, juści ojca morzę głodem, a sama to se używam, kiej dziedziczka. Tak się ano wypasłam, co mi już kiecka z bieder zlatuje, ledwie kulasami powłóczę. Na borg jeno żyjemy.

— Nie pleć, myślałby kto, że i prawda.

A prawda, żeby nie Jankiel, toby nawet tych ziemniaków ze solą zabrakło. Juści, syty głodnemu nigdy nie zawierzy!"

Oto fragment rozmowy w rodzinie Kłębów:

„Że Kłąb, aby nie zadrzemać, powlókł się do dołu z ziemniakami.

Zaś potem cosik ostro pykał przygasłą fajkę i spluwał, odrzucając głową włosy, opadające mu na twarz.

— Obejrzałeś, co? — zapytała żona, wychylając się ze sieni.

— Juści... żeby tak raz w dzień warzyć, starczyłoby ziemniaków do nowych!

— Hale, raz na dzień! Młode i zdrowe, to i źreć potrzebują.

— Nie dociągniem. Tyla narodu. Dziesięć gąb, a brzuchy mają kiej ćwierci. Trza będzie cosik zaradzić.

— O jałówce myślisz, co? To ci zapowiadam, że przedać jej nie pozwolę. Rób se, co chcesz, a bydlątka nie dam. Zapamiętaj sobie.

Zatrzepał rękoma, kiejby od osy uprzykrzonej, i gdy odeszła, jął znowu fajkę zapalać.

— Psiechmać baba... Potrza, to i jałówka nie ołtarz!"

Drobno i średniorolni chłopi lipeccy wyprzedają się z inwentarza, odstępują bogaczom wiejskim i skrawki ze swoich skromnych parcel (Antek Boryna już jako gospodarz na rodzinnej parceli ostrzy zęby na przykupienie łączki jednego z tych średniaków, znajdujących się w opresji):

„Któryś też z komorników ciągnął za rogi jałowicę, co się była teraz za zwiesnę pognała... Że zaś bieda ma długie nogi a ostre pazury, to Grzela z krzywą gębą, choć na ośmiu morgach siedział, a dojną krowę poprowadził na powróśle, somsiad zaś jego, Józek Wachnik, maciorę z prosiętami popędzał.

Ratowały się chudziaki, jak jeno mogły, bo już niejednego tak przypierało, że ostatnią koninę wyprowadził, jak to Gulbas musiał, sprocesowała go bowiem Balcerkowa za piętnaście rubli, które był kiejś pożyczył na krowę, i teraz gotowym wyrokiem groziła, że wśród płaczów całej rodziny a wyrzekań i gróźb, siadł nieborak na kasztanka i przedawać go pojechał."

DROGI WYJŚCIA

Chłopi lipeccy zdają sobie sprawę z tej ciężkiej sytuacji, zwłaszcza młodzi. Radzą więc jakby z niej wybrnąć. Mówi na zebraniu w karczmie Grzela (z rodziny pauperyzowanych już kmieci):

— „Bieda nie z tego, że ojcowie nie chcą wam popuścić gospodarek — mówił dalej — a jeno z tego, że Lipce mają złemi za mało, że narodu cięgiem przybywa, gdyż co starczyło za dziadków la trojga, musi się teraz rozdzielać la dziesięciorga.

— Święta prawda! Juści że tak! Juści! — szeptali sfrasowani".

Pozostaje szukać dróg wyjścia — gdzie zdobyć ziemię? Chłopi widzą folwark sąsiedni:

— „Taka ziemia, po sto rubli za morgę nie za dużo.

— Kupujcie, przeda i jeszcze waju w rękę pocałuje.

— Hale, drogi grosz, jak go braknie!

— Niemcy se użyją, a ty, chłopie, ślinę łykaj!

Pogadywali, wzdychając żałośnie. Markotność ich rozbierała. Juści, żal było takiej ziemi, bo to przyległa i rodna. Każdemuby się przydało kilka morgów, każdemu. Dyć się już cisnęli na swoich zagonach kiej mrówki, dyć ledwie się już przeżywali ode żniw do żniw. Taki kawał wybranej ziemi, w sam raz la synów i zięciów. Nową wieśby wystawili i łąki mieliby niezgorsze i woda pobok... Ale cóż, nie poredzi! Niemcy siędą, będą się panoszyć, a ty, człowieku, zdychaj.

— Kaj się to wszystko podzieje? — wzdychali starzy, patrząc na młódź, gżącą się wieczorami po drogach, a było tego, było, jaże się ściany rozpierały! A za cóż to miał kto grunta kupować, kiej ledwie na życie starczyło?

Głowili się niemało, nawet do księdza szli po radę. Nie poredził: z pustego nie naleje".

A więc jako jedyne rozwiązanie— nabycie ziemi z parcelacji. Kto w niej mógł wziąć udział, przekonaliśmy się, przytaczając sytuację gospodarczą drobno- i średniorolnych chłopów lipeckich. Mogli oni nabyć działki, ale drogą pożyczki bankowej, a więc z obciążeniem hipotecznym nowej parceli. Kowal i co zamożniejsi zdobywali działkę za gotówkę, a więc czystą. Dochód z niej mogli inwestować w narzędzia. w ulepszenia, osiągając już tym samym przewagę ekonomiczną nad pozostałymi „nowymi gospodarzami", którzy dochód kierowali na spłaty bankowe. I tu leży wielkie oszustwo rozwiązania problemu Lipiec, ale tego już Reymont nie pokazał — z przyczyn które staraliśmy się w naszym szkicu przedstawić.

Pokazawszy przedtem wszystkie zagrożenia, jakie przynoszą „Chłopi" dla dzisiejszego czytelnika — mogliśmy wykazać ile z prawdy o chłopstwie przedarło się do dzieła, mogliśmy wyłuskać te jego elementy, z których potrafimy sobie odtworzyć obraz wsi w Kongresówce z przełomu XIX i XX wieku. Ten zabieg nie upoważnia jednak krytyka do wyciągnięcia wniosku,, że Reymont starał się pokazać wieś w jej konfliktach klasowych, w jej stosunkach społecznych. Bo elementy przez nas wyłuskane nie są dla dzieła konstytutywne. I o tym trzeba pamiętać, gdy podejmuje się rewizję „Chłopów" Reymonta.

LEONARD SOBIERAJSKI

JÓZEF POGAN

CI, KTÓRZY PRZEMIENIAJĄ...

Jadąc do Wilamowej pod Nysą myślałem długo nad sprawą narastającej wśród naszych chłopów świadomości społecznej. Jechałem przecież do dobrowolniej założonej spółdzielni produkcyjnej. Obecnie będę mógł utwierdzić się w moich przekonaniach i doświadczeniach, że chłop to nie tylko przyzwyczajenie do rodzimej parceli, jak wmawiali to ideolodzy burżuazyjni; będę mógł poznać się z tymi, którzy zaczynają rozumieć już, że ich dobrobyt, kultura wiążą się ze społeczną formą wspólnego gospodarowania; zobaczę tych, którzy to nowe rozumienie mogą już praktycznie realizować z myślą o stworzeniu lepszych warunków życia dla siebie i następnych pokoleń.

Wilamowa jest niewielką osadą o ogólnej powierzchni 320 ha, w czym 280 ha ornej ziemi, częściowo klasy drugiej, a w większości trzeciej. Na opuszczonych przez niemieckich bauerów gospodarstwach osiedliło się 46 rodzin, w większości z okolic Nowego Sącza, a reszta zza Bugu. Większość z nich otrzymało po 8 ha, kilku po wyżej 1 do 3 ha, a czterech robotników po 1 ha. Tak zaczęli niby „nowe" na Zachodzie życie.

Wnet jednak to „nowe życie" zaczęło się niektórym nie podobać. Oczywiście tym biedniejszym. „Bo to niby miało się po wojnie całkowicie poprawić życie, a tu jeszcze wszystko niemal po dawnemu, jeden drugiego wyzyskuje w pracy najemnej. Więc jakiż to ten nowy porządek? — sarkali — gdzież tu każdy chłop jest panem sam sobie...? Jest panem, ale bogatszy. Panem sam sobie i panem nad drugim".

Wyzyskiwał najwięcej niejaki Giejsztor Stefan, były trzydziestohektarowiec, repatriant zza Bugu. Objął piękne ośmiohektarowe gospodarstwo, syn i dwie córki też po osiem ha i cała rodzina zaczęła uprawiać jakby „trust" kułacki. „Wielcy" to byli ludzie. Jeden bowiem z Giejsztorów był dyrektorem fabryki w Opolu, a żona prowadziła gospodarstwo. Wiadomo, ciężką pracą służących. Cała rodzina Giejsztorów (czterorodzina) miała stale od 8 do 10 służących. Płacili im według odwiecznego zwyczaju: „tyle, abyś dziadu nie zdechł". Na przykład Coś Marian z żoną zarabiali razem 70 kg zboża miesięcznie i postne jedzenie. Bo „chociaż u Giejsztorów niemal co parę miesięcy zabijali świnie, ale my nigdy mięsa nie jedli" — opowiadają dawni służący. Więc się buntowali po trochu.

Do grona Giejsztorowych sług dołączali się też i małorolni. A że to byli ludzie i „trzebiący" dawniej podkarpackie lasy u handlarzy drzewem za 80 gr dziennie i rolni robotnicy we Francji i inni zdeklasowani i znający trochę „światu" chłopi, więc szła po wsi nie lada propaganda przeciw wyzyskowi. O pojęciu ich krzywdy i reagowaniu na nią niechaj zaświadczą ich wypowiedzi z przeszłego życia.

„...Ojciec mój miał jeden mórg ziemi w powiecie nowosądeckim — opowiada Klak Antoni — więc ja już od 8 lat życia służyłem u bogaczy. Wiadomo chyba, jak mi się u nich powodziło, gdy przez jedenaście lat sypiałem w chlewie z bydlętami. Juści jadałem z miski, a krowy ze żłobów — mówi żartobliwie — ale dziś widzę, że żyłem gorzej od bydląt. Gdy dorosłem, pracowałem w lesie u przedsiębiorców, handlujących dworskim drzewem. Znów latem sypiałem w lesie, bo do domu miałem bardzo daleko. — Jak nie z bydlętami, to ze zwierzyną w lesie — dopowiada ktoś z obecnych. Dyć tak. Biedak był porównany jak nie z bydlęciem, to ze zwierzem, alem na rok przed wojną uciekł z lasu i dostałem się na roboty drogowe. Troszeczkę mi się rozwidniło, ale niewiele i nie na długo. Bo znów we wojnę harowałem u bogaczy, to znów w lesie, a wreszcie musiałem się ukrywać przed wywiezieniem do Niemiec. Mam lat 41, dzieci pięcioro, więc proszę sobie wyobrazić, wiele różnej biedy użyłem".

—Ja trochę z bogatszej rodziny — opowiada Coś Marian, obecny „szwajcar" — bo mój ojciec miał 6 morgów ziemi w stopnickim. Toteż dopiero od 14 lat poszedłem na służbę do bogaczy. Płacili mi po 10 zł miesięcznie, a czasem 15. Toteż w stajni sypiałem, choć znowu nie zawsze. Kląłem nieraz na wszystko na świecie i sam na siebie i wciąż ino myślałem, czy pieron trzeli kiej ten drański porządek na świecie!

— A ja kiedym se o tym pomyślał, — przerywa Klak Antoni — to mi się zdawało, że to już zawsze tak będzie, bom przecie widział, że cholery nic a nic nie popuszczają!

— Ja zaś przeczuwałem, że się musi zmienić. I przeczułem.

— Macie jakie wykształcenie? — pytam Cosia.

Zbliżył się ku mnie i wyrzekł przyciszonym głosem: „Nijakiego, bo ani roku nie chodziłem do szkoły. Teraz dopiero chodzę na kurs".

— Analfabetów? — przypomniałem.

— Jużci — odrzekł, — choć ludzie widzą, że chodzę do szkoły, ale jakoś nijako o tym się wspomina. Mam 32 lata, to może jeszcze coś skorzystam z tego, czego się nauczę. Po wojnie przyjechałem tutaj i wraz z żoną przyjęliśmy służbę u Giejsztora.

— Ja trochę więcej światu zwiedziłem, bo i po Francji za robotą się tułałem — opowiada traktorzysta Smolenica Teodor. — Do szkoły chodziłem jeden rok. Ojciec był średniakiem na wschodzie. W młodości pracowałem w fabryce mydła, bo w domu była bieda. Potem poszedłem do służby wojskowej, a po jej ukończeniu wyjechałem w r. 1930 do Francji. Tam wyuczyłem się na traktorzystę. Potem zwerbowano mnie do wojska, skąd po upadku Francji dostałem się do niewoli niemieckiej. Z niewoli przysłali mnie po pewnym czasie tutaj do bauera. Przez parę lat mordowałem się u niemieckiego kułaka, po wojnie znów u polskiego, u tego właśnie Giejsztora.

— Jaki kułak lepszy: polski, czy niemiecki? — pytam.

— Prawdę pedzieć, to oba jednego diabła warci.

Trzydziestopięcioletni Szymków Michał z Tarnopolszczyzny, też posiadał dwie morgi ziemi, ojciec jego sześć, czyli o jedno pokolenie trzykrotne zubożenie. Utrzymywał się trochę z tych własnych zagonów, trochę z zarobków we dworze. Zarabiał po 60 gr dziennie, a przy żniwach po 80. Żył ciężko i świat i swe życie też ciężko przeklinał. — „Żeby albo jego diabli wzięli, albo tych, co taki porządek na świecie postanowili". Tu w Wilamowej też długo był wyrobnikiem.

Solarz Stanisław ze wsi Wronie spod Krakowa nie lepszą przeszedł szkołę życia. Młody jeszcze, przed samą wojną terminował na szewca. Po wojnie wyjechał na Ziemie Odzyskane i trafił właśnie do Wilamowej. Naprawiał stare buty, terminowania bowiem nie ukończył całkowicie. Klepał młotkiem po kopycie swoją biedę tak, jak inni łamali kości u Giejsztora za niecałe 70 kg zboża miesięcznie.

Trzydziestoletni Klimczak Stanisław, kowal z okolic Nowego Sącza był bezrolnym, choć ojciec posiadał 8 morgów górzystej ziemi. Terminatorstwo u kowala pozbawiło go, jak to zwykle się działo, rodzinnej schedy. Kuł swoją nędzę w dymiącej kuzience i żył. Gdy przyszła wojna rzucił młot i poszedł na front, dostał się do niewoli, a następnie do obozu pracy. Po wojnie wrócił w rodzinne strony. Lecz widocznie na Podkarpaciu młot w kuźni Klimczakowi nie dawał możliwości życia, gdyż zaraz wyjechał na Zachód. W Wilamowej kuł dalej w kuźni, w pierwszy dzień pracy sporządzał Giejsztorowi bryczkę. Zajęło mu to cały dzień. Giejsztor zapłacił mu za to 100 zł.

— Myślałem, że taki lepszy gość zapłaci dobrze — wspomina Klimczak — i nie podałem mu ceny, mówiąc, by sam dał, ile po sprawiedliwości uważa. Dał mi 100 zł, a więc może piątą część tego, co zarobiłem.

Tak to przedstawia się w wielkim skrócie historia żywotów większości wilamowskich osadników. Od dzieciństwa służba, zamiast szkoły sypianie w chlewach u bogaczy, a później bezustanna tułaczka za chlebem, którego wciąż łaknęli. To cierniowa droga znacznej części polskiego chłopstwa. Znam tę drogę — przemierzałem ją o głodzie z kosą i cepem na ramieniu przez wiele lat.

Wśród ludzi o takim losie nie trudno było o założenie koła PZPR. I szła tu zdrowa propaganda przeciw wyzyskowi. Toteż wnet przystępowali do koła i inni, ci byli średniacy, wszak ich los był podobny, choć znów nie tak okropny. Choć niezbyt liczne, ale powstało koło mocne, które na własnym podwórku przyspiesza rytm pędzącej historii. Toteż, gdy zaczęło się w Polsce zakładanie spółdzielni produkcyjnych, — wilamowscy osadnicy nie pozostali w tyle.

W początku maju b. r. zebranie. Nie doszło jednak do skutku — do założenia spółdzielni. Jedna trzecia gospodarzy głosowała za założeniem, dwie trzecie przeciw. Godzili się najwyżej na tzw. „Zrzeszenie uprawy".

— A no, zdawało nam się, że to nie będzie dobrze — mówią dziś z pewnym zażenowaniem. — Bo to, wie pan, niektórzy straszyli, że w kołchozach jest źle".

Zwolennicy postępu nie zrazili się pierwszym niepowodzeniem. Postarali się o statut, tłumaczyli opornym, perswadowali...

W końcu maja ponownie zwołano zebranie. Był jeszcze „targ" i wreszcie zdrowa inicjatywa wzięła górę — chłopi zgodzili się na założenie spółdzielni produkcyjnej. Nawet Giejsztor też, lecz go nie przyjęli. Toteż psioczył później, obrzydzał, szydził pokątnie, że „z czego biedacy będą na razie żyć, gdy przez rok będą za darmo pracować!..." Ale to było istnym „szczekaniem na wiatr".

Gdy patrzę na wilamowskich spółdzielców, przypominają mi się twarze przedwojennych fornali. Jakżesz odmienne w swoim wyrazie! Przygnębiona, zniechęcona do życia twarz dawnego fornala budziła politowanie; twarz obecnego spółdzielcy maluje się pogodą, radością życia i zapałem do pracy. Kontrast odbicia wewnętrznego. Przypatrzmy im się chwilę, jak pracują i jak patrzą w przyszłość?

Kierownik Spółdzielni i obecny sołtys wsi, Władysław Grabowski, opowiada z zadowoleniem, że już pozasiewali oziminy: 10 ha rzepaku, 10 ha jęczmienia ozimego, 30 ha żyta i 100 ha pszenicy. Podorywki też już zabronowane. Wychodzę w pole, by stwierdzić naocznie. Na szerokich stajach zieleni się żyto, pszenica też kiełkuje.

— Kupiliśmy, czyli dostaliśmy na kredyt traktor „Ursus" za sumę 1 milion 800 tysięcy złotych — mówi kierownik Grabowski. — Sporządziliśmy dach nad stajnią, stodołą i magazynem; naprawiliśmy też wozy i uprząż. W pojedyńczym, prywatnym gospodarstwie, nawet przy największych wysiłkach nie potrafilibyśmy tego zrobić. Przy zakładaniu spółdzielni zgromadziliśmy do ośrodka 10 kosiarek i żniwiarek, 7 snopowiązałek, 4 młockarnie, 5 siewników, 18 koni, lecz i ten inwentarz za mały i musimy go zwiększyć. Nasza spółdzielnia musi zakwitnąć dorobkiem — postanawia kierownik Grabowski.

Wychodzę ku obejściom zobaczyć wszystko dokładnie. Konie w jednej, dużej, pobauerowskiej stajni, maszyny i narzędzia w jednym garażu, zboże w dużym spichrzu. I wszędzie wre praca. Nawiązuję znów krótką rozmowę. — Straszyli nas niektórzy, to się człek bał — mówi Klak. — A teraz, choć to dopiero początek, a już się przekonałem, że o wiele lepiej, bo odpadają wszystkie kłopoty prywatnego gospodarowania, straty czasu za drobiazgami, straty z powodu nieumiejętności gospodarki, niepotrzebnych dróg polnych itp. No i w robocie nie lata się z wywieszonym językiem, bo w planowej gospodarce wszystko bez gorączkowania na czas się wykona. Ho, ho, moje dzieci nie będą sypiać w chlewie, jak ja sypiałem.

— Nie wiedziałem, że zawsze tak na świecie być nie musi, jak dotąd było — mówi znów drugi. — Byłem popychadłem u bogaczy, tutaj w Wilamowej robotnikiem, a dziś mam tyle, co każdy we wsi i o byt jestem naprawdę spokojny.

Kowalski Józef opowiada znów o kole partyjnym PZPR, ZMP, o Samopomocy Chłopskiej, Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, o Ośrodku Zdrowia i świetlicy. — „Bo i to już mamy, choć jeszcze słabo urządzone i zaopatrzone. Ale pewni jesteśmy, że i w tej dziedzinie czas wnet zrobi swoje".

— Tak, zrobi zapewne — przytakuję w myśli. — Tak jak nabyty traktor przeorał po tegorocznych żniwach przyczyny sąsiedzkich kłótni, bójek i sądów — pasemka miedz. Kowalski Józef ma już 46 lat. Jest synem średniorolnego chłopa z Wileńszczyzny. Posiada 6 klas szkoły powszechnej, choć jego uświadomienie społeczno-polityczne zdawałoby się przeczyć temu. A on wiele w życiu przechodził. Był w partyzantce, później po wyzwoleniu Wileńszczyzny zgłosił się ochotniczo do Armii Polskiej i walczył do końca wojny. W Wilamowej dostał 9-cio hektarowe gospodarstwo poniemieckie. Należało mu się... zasłużył na nie bronią w pokonywaniu hitleryzmu. I dalej Kowalski nie ustaje w pracy społecznej: jest aktywnym członkiem PZPR, Samopomocy Chłopskiej, Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, członkiem Gminnej Rady Narodowej, Komisji Oświatowej Komisji Kontroli Społecznej i opiekunem kursu dla analfabetów. On też wraz z Grabowskim, Mangiewiczem, Solarzem i Klimczakiem walnie przyczynił się do założenia spółdzielni.

— Choć przed wojną nie należałem do biedaków, tutaj też szło mi jakoś na dziewięciu hektarach — opowiada Kowalski — jednak o ileż wolę wspólnie gospodarować, niż prywatnie. Bo jak przepracuję w roku 120 przewidzianych normą dniówek, to jak obliczaliśmy, zarobię dużo więcej, niż na swoich psia jego mać 9-ciu średniej jakości ha. A przecież można tę normę przekroczyć nawet pojedyńczo, nie mówiąc już o tym, gdy w rodzinie jest więcej rąk do pracy. My tu niemal wszyscy, choć to dopiero początek — normę przekraczamy, gdyż każdy wie, że im więcej wyprodukujemy, tym więcej zarobi. Więc pracujemy jak najpilniej i planujemy, rządzimy się sami, bo nikt znikąd nie miesza się do naszych gospodarczych spraw — kończy Kowalski.

Tak mówi jeden, drugi, trzeci... dziesiąty.. Zarówno były wyrobnik, zagoniarz, czy gospodarz. Proste i szczere ich wypowiedzi są gwarancją, że wilamowscy chłopi, w nowej zespołowej pracy wykują sobie wkrótce doskonałą przyszłość.

Józef Pogan

MARIA JANION

DROGA DO PARTII*)

Izydor Koszykowski

ŻYCIORYS KLASY ROBOTNICZEJ

W laboratorium nowej literatury niezmiernie doniosłą rolę odgrywają pamiętniki robotnicze, których kilka opublikowano w ostatnich latach. Stanowią one nie tylko bezcenny materiał dla historyka i pisarza, ale same rewolucjonizują literaturę, wprowadzając do niej jako podstawę osądu i miarę wartości, jako teorię artystycznego widzenia świata — doświadczenia rewolucyjnego proletariatu, tworząc nowy typ bohatera powieściowego, przyswajając ogółowi historię przodującej klasy. Mniej lub bardziej zbeletryzowane wspomnienia robotników stanowią dziś przodującą pozycję nowej literatury.

Dotychczas opublikowane lub bliżej udostępnione pamiętniki nie objęły jednak jeszcze wszystkich ważnych ogniw historii polskiej klasy robotniczej.

Najpełniejszy stosunkowo obraz w literaturze pamiętnikarskiej zyskały początki walki rewolucyjnej proletariatu. „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego i „Wspomnienia starego robotnika" Olbrzymka — oto książki, które ukazały typowy, modelowy niemal wzór drogi życiowej robotnika — rewolucjonisty na przełomie XIX i XX w. Koleje życiowe Rudnickiego i Olbrzymka pokryły się z elementami wielkiego życiorysu klasy robotniczej.

Typowa droga w okresie kształtowania się polskiego proletariatu: ze wsi do miasta wprowadza Rudnickiego w szeregi klasy robotniczej przez wielki przemysł łódzki, a Olbrzymka— przez proletaryzujące się warszawskie rzemiosło. Pamiętniki obydwu działaczy i pisarzy uzupełniają się wzajemnie. Nie są to zresztą tylko dokumenty przeciętnego, „szarego" życia członka nowej klasy. Wielka polityczna historia proletariatu, historia partii i jej walki wchodzi głęboko w te życiorysy. Naczelne problemy życia ówczesnego proletariatu, zasadnicze zagadnienia ruchu rewolucyjnego znalazły swoje odbicie we wspomnieniach odbydwu pisarzy. Weszły tam nie w formie relacji i komentarza, lecz jako treść przeżyć i doświadczeń autorów.

Mimo odmiennych kolei życiowych i Rudnicki i Olbrzymek przebyli podobne, jakże typowe etapy partyjnej ewolucji (od PPS do SDKPiL), podobne drogi rewolucyjnego samokształcenia (kółko i studia więzienne), zdobyli podobne doświadczenia działacza, więźnia, zesłańca. Żywot klasy znalazł na kartkach wymienionych pamiętników bogate odbicie.

Inne losy robotnicze, również modelowe, choć utrwalone w mniej interesującym kształcie artystycznym, dadzą się odnieść do czasów niezbyt dalekich. Mowa o pamiętniku pt. „Na Uralu" pióra Józefa Boka, robotnika polskiego, przebywającego w ZSRR. w latach 1940/45, odtwarzającego doświadczenia klasy robotniczej podczas zmagań z faszyzmem. Dzieje „walki na tyłach" zostały tu ukazane na tle pasjonujących osiągnięć w dziedzinie współzawodnictwa, opanowania nowych metod pracy itp. Pamiętnik Boka streszcza pewien zakres ważnych doświadczeń, typowych dla określonego etapu historycznego.

Niestety, dotychczas jednak nie wydobyto i nie opublikowano równorzędnych pamiętników, dotyczących wielkiej historii polskiej klasy robotniczej w okresie 20-lecia. Okres ten, szczególnie ważny, a niewyświetlony dotąd należycie przez historyków i pisarzy, przekazuje doniosłe doświadczenia proletariatu na odcinku zmagań z narastającym faszyzmem.

Materiały pamiętnikarskie, odnoszące się do tego rozdziału historii są wprawdzie dość bogate — przedwojenne „Pamiętniki bezrobotnych", „Życiorysy górników", wreszcie „Pamiętniki robotników z czasów okupacji" zahaczają także ubocznie o interesujący nas okres. Wśród tych obfitych, niejednokrotnie cennych materiałów, trudno jednak znaleźć pamiętnik, któryby szerokością widzenia świata, umiejętnością tworzenia pisarskich uogólnień losu ludzkiego, zrozumieniem sensu opisywanych wydarzeń, dorównywał książkom Rudnickiego czy Olbrzymka. Działały tu zresztą i inne względy. Narzucone przez organizatorów konkursu fałszywe założenia skrzywiły w dużej mierze obraz walki klasowej u wielu spośród autorów „Życiorysów górników". „Pamiętniki bezrobotnych" uległy surowej korekcie ze strony wydawców (L. Krzywicki w przedmowie pisał: „Usuwaliśmy spotykane, acz nieliczne porachunki natury partyjnej, zupełnie obojętne dla treści pamiętnika...").

„DZIECKO ULICY"

Istniejącą lukę wypełnia w pewnej mierze cenny pamiętnik IZYDORA KOSZYKOWSKIEGO pt. „DZIECKO ULICY"*) Zaznaczyć jednak należy, że nie jest to w pełnym tego słowa znaczeniu „pamiętnik robotniczy". O wartości jego stanowi fakt, że ukazuje on właśnie trudną a długą i zawiłą drogę do proletariackiej świadomości klasowej, do partii, do rewolucyjnej walki „dziecka ulicy" — małego znajdy, chodzącego długie lata marginesami walczącego proletariatu. Ten właśnie charakter losów Koszykowskiego posiada w pewnej mierze walor typowości dla obrazu życia klasy robotniczej w okresie, gdy kruszy się prosperity wczesnego etapu rozwoju polskiego kapitalizmu.

Wspomnienia Koszykowskiego pisane były przed grudniem 1926 roku. Przy końcu tegoż roku został Koszykowski członkiem i działaczem Komunistycznej Partii Polskiej, w jakiś czas potem otrzymał stałą pracę w Miejskich Zakładach Komunikacyjnych. Z tego nowego okresu życia Koszykowskiego wspomnień już nie posiadamy.

Etap „przedproletariacki", który tak szybko skończył się u Rudnickiego i Olbrzymka, trwa u Koszykowskiego wiele długich, żmudnych, ciężkich lat. Warunkują to — tylko w części typowe — losy „dziecka ulicy". Koszykowski terminuje przez wiele lat w małym, zacofanym warsztacie metalurgicznym; w fabryce pracuje bardzo dorywczo i chwilowo, okresy przewlekłego bezrobocia wyrzucają go stale na bruk. Do 1926 r. Koszykowski pozostaje z dala od wielkich skupisk proletariatu, które tak przyśpieszają procesy uświadomienia klasowego, z dala od partii. Stąd jego droga do rewolucyjnej świadomości proletariackiej jest trudna, przewlekła.

Młodość Rudnickiego (ur. 1882) i Koszykowskiego (ur. 1901) przypadła na inne, odmienne etapy rozwoju kapitalizmu w Polsce. Rudnicki, chłopak ze wsi, zostaje wchłonięty „bezboleśnie" przez tryby wielkiego przemysłu w okresie względnie jeszcze spokojnego rozwoju kapitalizmu. Przypomnijmy sobie wędrówki po Łodzi chłopca, pełnego zachwytu dla miejskiej nowoczesnej techniki. Nie grozi jeszcze widmo masowej redukcji, nie rozpętały się jeszcze w pełni na tych ziemiach wielkie kryzysy kapitalistyczne. Na wczesne dzieciństwo i młodość Koszykowskiego przypadają ciężkie lata potężnych kryzysów i masowego bezrobocia. Zarysowuje się wówczas okresowo proces odwrotny, niż ten, który wystąpił w pełni w okresie kształtowania się polskiej klasy robotniczej. Teraz z kolei miasto wypycha setki i tysiące bezrobotnych na wieś. Głodną falą przepływają przez wynędzniałe wsie dwudziestolecia, ulegając złudzeniom, że „na wsi zawsze łatwiej". Zjawisko to przybiera wymiary masowe; mówią o tym i „Pamiętniki bezrobotnych" w odniesieniu do kryzysu lat 1929/31. Wśród emigrujących na wieś w latach 20-tych znajdzie się i Koszykowski. Potężne wstrząsy kapitalizmu w stadium imperialistycznym uderzają boleśnie w klasę robotniczą, poddając ją niszczącemu działaniu głodu, nędzy, bezrobocia. Bezrobotny, pozbawiony nadziei wydarcia się z dna, Izydor Koszykowski usiłuje dwukrotnie popełnić samobójstwo: raz samotnie, drugi raz — z żoną i dzieckiem.

DO REWOLUCYJNEJ ŚWIADOMOŚCI

Częsta degradacja życiowa do pozycji lumpa, różne etapy biografii, gdy Koszykowski ulega naciskowi ideałów drobnomieszczańskich, gmatwają drogi rozwoju jego rewolucyjnej świadomości klasowej.

U Rudnickiego i Koszykowskiego zupełnie różnie ukształtowały się koleje i charakter ich samouctwa. Rudnicki i jego towarzysze zdobywają wiedzę jako skuteczny oręż w walce klasowej. We wspomnieniach Koszykowskiego rozszerzanie horyzontów umysłowych nie jest, jak u Rudnickiego, umacnianiem się na zajmowanych pozycjach światopoglądowych i politycznych.

Skonfrontujmy przełom religijny w obu pamiętnikach. U Rudnickiego walka ze światopoglądem religijnym jest rewizją filozofii, którą wyznaje wroga klasa. Światopogląd ten pęta i utrudnia narzucone przez nowe warunki życiowe działanie, wymagające nowej broni ideologicznej. Światopogląd religijny zostaje odrzucony praktycznie, zanim Rudnicki przyswoił sobie światopogląd walczącego proletariatu, zanim w pełni zaprzeczył wszystkiemu, co „stare". Dyskusja z religią wypływa z konkretnych potrzeb walki klasowej. Zupełnie inaczej przebiegał ten proces w sytuacji Koszykowskiego. „Dziecko dobroczynności" wychowane zostało przez pobożne zakonnice, które wpoiły mu zakłamaną filozofię pokornego ubóstwa i wiary w „Opatrzność". Przełom religijny zachodzi u Koszykowskiego na drodze demaskowania obłudy tego światopoglądu. Konfrontacja twierdzeń modlitewników z doświadczeniami jego udręczonej młodości odsłania nie tylko ponurą absurdalność „pociechy religijnej", lecz i życiowy sens kierunku jego edukacji w przytułku: „Modlitwy moje płynęły w przestworza, nie przynosiły mi żadnej ulgi, ani nawet nadziei", „O Boże, jaki ten Twój krzyż ciężki! A może Cię, Boże nie ma, może Cię stworzono dla fantazji, by ktoś na Tobie zarabiał grubo, a innych oszukiwał? Gdyż ci, co głoszą Twe nauki, żyją świetnie zamiast Cię naśladować jako ubogiego Chrystusa. A może Ty jesteś ich parawanem? Bo naprawdę gdybyś istniał, to byś spojrzał na mą niedolę i na nasze męczarnie".

Chwiejność światopoglądowa przejawia pamiętnik Koszykowskiego. Akcenty pesymizmu, goryczy, rozpaczy nie schodzą z kart książki. W różnych wariantach powtarza się myśl zasadnicza: „Życie moje jest zagadką nawet dla mnie i zostanie nią do zgonu... Oby nie było dnia, gdym ujrzał ten piękny świat! Piękny, ale nie dla mnie...", „A dzisiaj umieram z głodu w zapomnieniu. Ja, dziedzic nazwiska ulicy, który urodził się nie wiem po co i żył nie wiem po co". W autobiografii Koszykowskiego nie brak jednak dobitnych przejawów ostrego klasowego widzenia rzeczywistości kapitalistycznej. Do majstra, zapraszającego go na wigilię, wygłasza takie przemówienie: „Ja wiem, że musiałbym panu życzyć, żeby pan był bogatszy, a przecież im pan będzie bogatszy, to ja będę biedniejszy... Albo wszystkich podzielić na równo i będzie sprawiedliwie, bo nie byłoby wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy". Jednak spotykamy też w pamiętniku niejednokrotnie zrozumienie dla drobnomieszczańskich ideałów życiowych, marzenie o pozycji rzemieślnika, o własnym „dorobieniu się", próby zadomowienia się i utrwalenia w środowisku drobnomieszczańskim.

W okresie pierwszej wojny imperialistycznej staje Koszykowski na pozycjach patriotycznego drobnomieszczaństwa. Myśląc o „odbudowie Polski", wiąże z tym nadzieje na jakąś automatyczną poprawę losu „biednych", na jakąś nieokreśloną „sprawiedliwość". Problemu walki narodowo-wyzwoleńczej nie widzi w kategoriach klasowych. Koszykowski zdaje się nic nie wiedzieć o wybuchu i konsekwencjach Wielkiej Rewolucji Październikowej. Jako ochotnik bierze udział w wojnie lat 1914/18 i w wojnie r. 1920. Trzeba dopiero dłuższego pobytu w wojsku na tyłach frontu i w czasie pokoju, aby pasja i świadomość oszustwa wybuchły z całą siłą. „Ja poszedłem z patriotyzmu, ale skoro żeście, panowie, obiecywali, to wobec tego dotrzymujcie, bo i mnie się należy sprawiedliwość", „Pomyślałem: chciałbym teraz wojny. Pierwszymi wrogami byliby nie żołnierze z drugiej strony, lecz sami najbliżsi swoi".

Przełom religijny i pobyt w wojsku, będący wielką lekcją polityki — oto najdonioślejsze momenty w kształtowaniu się rewolucyjnej świadomości klasowej Koszykowskiego. Przed r. 1926 jest on jednak człowiekiem, którego poczucie krzywdy i pragnienie walki nie zostały jeszcze ujęte w karby i sprowadzone we właściwe łożysko przez rewolucyjną teorię i praktykę proletariacką. Stąd nawet w momencie, gdy widzi swą krzywdę i pragnie walki, nie rozumie w pełni mechanizmu świata. W narracji pamiętnikarskiej potężna gniewna pasja klasowa splata się z drobnomieszczańskim sentymentalizmem. Uderza brak umiejętności uogólnienia osobistych doświadczeń, którą w tak wysokim stopniu posiadali starzy aktywni działacze robotniczy — Rudnicki i Olbrzymek W pamiętniku Koszykowskiego nie widać szerszego tła dziejących się rzeczy. Koszykowski nie umie jeszcze pokazać w pełni spraw innych ludzi.

Na treść pamiętnika składają się głównie wynurzenia indywidualne; tylko swoje osobiste losy jest Koszykowski w stanie przemyśleć i zrozumieć. Dlatego przywiązuje on wielką wagę do pewnych elementów swej biografii, które posiadały dla jego losów znaczenie doniosłe, nie mają jednak waloru typowości. Koszykowski skłonny jest naogół przeceniać znaczenie swego niewiadomego pochodzenia, swej pozycji podrzutka.

Tytuł pamiętnika (pochodzący zresztą zapewne od redakcji) „Dziecko ulicy", a przede wszystkim gorzkie partie zwierzeń osobistych zdradzają, że Koszykowski nieraz bliski jest myśli, iż jego nieślubne pochodzenie warunkuje wszystkie nieszczęścia i niepowodzenia życiowe. „Bo my, dzieci księżyca i ciemnej nocy, jesteśmy wyrzuceni poza nawias życia ludzi rodzinnych. My tylko widzimy przez okna, jak siedzi rodzina przy stole..." Jednak przyszły rewolucjonista z czasem zapomni o swym pochodzeniu.

W literaturze dwudziestolecia, literaturze okresu wielkich wstrząsów i katastrof imperializmu, temat marginesu społecznego, bezrobotnych, lumpów i wszelkiego typu „dzieci ulicy" należał do bardzo popularnych. Stanowił znakomite pole eksploatacji dla literatury mieszczańskiej. Frapująca, sensacyjna „nędzologia", szerokie możliwości dla smaczków pornograficznych, dla demaskowania „zwierzęcia ludzkiego", a nade wszystko pozór radykalizmu, przy pewności uniknięcia niebezpiecznych raf problemu „proletariat", należały do wybitnych zalet tematu, a uznaniem przyjmowanego przez mieszczaństwo.

Dla uwydatnienia kontrastów między tą literaturą a „Dzieckiem ulicy" Koszykowskiego posłużyć mogą najlepiej „Dzieci ulicy" i „Jestem głodny". G. Finka. Jego „dzieci ulicy" to lumpy, zrujnowani drobni posiadacze, często staczający się w szeregi lumpenproletariatu bezrobotni. Fink ukazuje nieuchronny już upadek moralny opisywanych kręgów. Beznadziejny pesymizm, brak sił i chęci do walki, mętna filozofia „naturalnej" konieczności nędzy, stwarzają klimat, w którym z łatwością mógł żerować faszyzm, oplątujący pewne odłamy klasy robotniczej, rozbrojonej często okresem bezrobocia i wieloletnią polityką socjaldemokracji. Bohaterowie Finka to nie są ludzie, zdolni do walki o prawa własne lub cudze, nie są to już nawet ludzie pragnący pracy. Ich jedyne beznadziejne marzenie to „dobrze, wykwintnie żyć".

Koszykowski reprezentuje gruntownie przeciwną postawę, charakterystyczną także i dla wielu z „Pamiętników bezrobotnych". Wejście czy powrót do proletariatu traktuje się tu jako właściwy awans społeczny. Pamiętnikarze za wszelką cenę chcą uzyskać pracę. Bezustannie powtarza się wołanie: „Dajcież nam pracy! chleba! Dajcież nam prawo do życia!... ręce nasze pożądają pracy... pragną pracować, tworzyć, budować!..." („Pamiętniki bezrobotnych") Nawet spisywaniu wspomnień, zajęciu znienawidzonych „wolnych chwil", bezrobotnego, przyświeca myśl, że może przyda się to dla znalezienia pracy. Koszykowski stwierdza: „...ja piszę po to, by znalazł się człowiek, który by mi dał pracę. Ach, tę pracę, pracę nieszczęsną, której tysiące ludzi pragnie". Koszykowski i wielu z bezrobotnych reprezentują środowisko, którego kryzys i nędza życia nie złamały, nie zwiodły z drogi proletariackiego obowiązku. W końcu roku 1926 Koszykowski wstępuje do Komunistycznej Partii Polski. Pamiętników, dotyczących tego etapu, nie posiadamy.

Swe rozpaczliwe wynurzenia kończy Koszykowski w grudniu 1926 roku słowami: „Jeśli będę żył, to kiedyś znów się przypomnę i opiszę dalsze losy mego życia". Przypomniał się narodowi udziałem w warszawskim strajku tramwajarzy w r. 1931, walką z okupantem, wreszcie bohaterską śmiercią wśród 50-ciu powieszonych przez Gestapo PPR-owców i Gwardzistów w październiku 1942 r. Ten etap życia nie znalazł jednak odbicia w pamiętnikach zepchniętego w podziemia konspiratora. Dlatego źle się stało, że w „Słowie wstępnym" nie zebrano bardziej wyczerpujących informacji o życiu Koszykowskiego po r. 1926. Pozwoliłoby to uzyskać pełny obraz dziejów bohaterskiego, proletariackiego „dziecka ulicy".

Koszykowskiemu nadano nazwisko od nazwy ulicy, na której znaleziono podrzutka (ul. Koszykowa). „Jedno mi jest wiadome: matką była mi brama Warszawy, a ojcem — ulica, ponieważ otrzymałem nazwisko ulicy".

Mały znajdek przyniósł jednak zaszczyt swej warszawskiej rodzinie. I kto wie, czy w odwecie historii, na fali wielkiego awansu wszystkiego, co najcenniejsze, a có dotąd zepchnięte było na dno dziejów narodu, nie należałoby tej ulicy warszawskiej przemianować z kolei na ulicę Izydora Koszykowskiego.

Maria Janion

*) Izydor Koszykowski, Dziecko ulicy. Słowo wstępne Adama Polewki, Książka i Wiedza, Warszawa, 1949 r

Skoczylas — Rudery Warszawy

STANISŁAW CIEŚLAK

W WALCE Z BOGACZAMI WIEJSKIMI

1. WZROST ZAMOŻNOŚCI WSI

Z roku na rok rośnie w Polsce Ludowej produkcja rolna. Pomyślne zbiory zwłaszcza r. 1948 i 1949 oraz znaczny wzrost pogłowia zwierzęcego i jego wydajności (przy stałych, opłacalnych cenach rolniczych) sprawia, że rośnie stale i wartość produkcji rolnej.

Wartość produkcji gospodarstw chłopskich (bez produkcji Państwowych Gospodarstw Rolnych):

Rok	Wartość w mld. zł bież.
1947	ok. 839
1948	„ 930
1949	„ 1.100

W przeciwieństwie do lat przedwojennych temu wzrostowi wartości produkcji rolnej towarzyszy zahamowanie przeludnienia wsi.

Dzięki rozwojowi przemysłu od roku 1947 cały przyrost naturalny wsi odpływa obecnie do zajęć nierolniczych, a cyfra ludności rolniczej utrzymuje się stale na poziomie ok. 12.5 miliona osób.

Decydująca ofensywa na przeludnienie wsi rozpocznie się w okresie Planu Sześcioletniego, kiedy to do zajęć nierolniczych odpłynie **przeszło półtora miliona** osób.

Jeśli przypomnimy sobie lata przedwojenne 1931 — 1937, kiedy wartość produkcji rolnej spadła z 8,2 mld. zł na 5 mld. zł, a ludność rolnicza (mimo emigracji) wzrosła o 2 miliony osób, to zrozumiałym jest dla każdego, jak wielkimi sukcesami może się poszczycić polityka Polski Ludowej na odcinku poprawy położenia ludności wiejskiej.

Ten stały wzrost wartości produkcji rolnej przy zahamowaniu przeludnienia wsi oznacza poważny wzrost zamożności ludności wiejskiej. W roku obecnym wartość produkcji rolnej w przeliczeniu na głowę ludności rolniczej (wyrażona w cenach 1937 r.) jest już **dwa i pół razy wyższa** niż w r. 1945, a o 15 proc większa niż przed wojną.

Na te sukcesy złożyły się zarówno wzmożona aktywność społeczna i gospodarcza mas chłopskich, jak i troskliwa opieka rządu ludowego, który w formie kredytu, elektryfikacji, wzrostu produkcji nawozów sztucznych, importu inwentarza żywego, wzrostu produkcji maszyn i narzędzi rolniczych, stałych cen, usuwania zbędnego pośrednictwa handlowego itp. — spieszy z roku na rok z coraz wydatniejszą pomocą wsi.

2. KTO SIĘ SZYBCIEJ BOGACI?

Ten wzrost zamożności wsi napawałby każdego wielką radością, gdyby nie jeden ujemny fakt.

Na wsi w warunkach drobnotowarowej i kapitalistycznej gospodarki dorabiają się zawsze szybciej bogacze wiejscy, a nie mało i średniorolni chłopi.

Szereg lat urodzajnych przyniósł największe korzyści elementom kułackim, wzmocniły się one gospodarczo, nagromadziły poważne kapitały: mogą nimi manewrować na rynku.

Rzecz jasna, że w państwie ludowym zmniejszyło się poważnie otwarte całkowicie przed wojną pole do wyzysku biedniejszej części wsi przez bogaczy wiejskich, ale nie znikło całkowicie. Rozwój handlu państwowego i spółdzielczości wiejskiej, trudności przy nabywaniu ziemi i uniemożliwienie rugowania z niej małorolnych chłopów, rozwój państwowych i spółdzielczych ośrodków maszynowych, rozrost kredytów rolniczych, stosowanie umów zbiorowych przy pracy najemnej w rolnictwie itp. poważnie ogranicza, choć nie usuwa jeszcze całkowicie, możliwości spekulacji i wyzysku stosowanego przez kapitalistyczne elementy wsi.

Nie należy przeceniać siły bogaczy wiejskich, ale nie wolno ich niedoceniać. W roku np. 1948 gospodarstw rolnych prywatnych o przychodowości ponad 100 q żyta było — 182 tysiące, w r. 1949 — 397 tysięcy.

Widać stąd jak na dłoni, że drobnotowarowa gospodarka chłopa rodzi stale i wciąż nowych kapitalistów.

3. SPEKULACYJNA DZIAŁALNOŚĆ BOGACZY WIEJSKICH

W roku 1949 już dwa razy tyle bogaczy wiejskich posiadało z samej tylko produkcji roślinnej (nie licząc dochodu z hodowli zwłaszcza bydła rogatego) dochód brutto wartości ponad 100 q żyta.

W związku z tym wzrosła w r. 1949 więcej niż dwukrotnie siła nabywcza elementów kapitalistycznych wsi.

Odbija się to na sytuacji materialnej klasy robotniczej i mało oraz średniorolnych chłopów. Bogacze wiejscy konsumują w roku obecnym o wiele więcej mięsa i tłuszczu, z krzywdą mas pracujących, przechwytują cały szereg deficytowych jeszcze na wsi artykułów przemysłowych: jak papa, smoła, cement, skóra ,materiały budowlane itp., przyczyniając się do spekulacji tymi artykułami.

Korzystają oni z każdej okazji, z każdej przejściowej trudności w uspołecznionej gospodarce, aby spekulować raz na maśle, którego cenę windują do 1000 zł na wolnym rynku (we wrześniu b. r.), drugi raz na ziemniakach, których cenę w większych miastach wyciągnęli na wolnym rynku powyżej 1000 zł, próbują spekulować również, (choć tu mają o wiele mniejsze możliwości) przy obrotach pszenicą i jęczmieniem (stąd przejściowy brak kasz, jaki od czasu do czasu nawiedza wielkie miasta) itp

4. ŹRÓDŁEM WYZYSKU KAŻDY DUŻY MAJĄTEK

Żaden duży majątek nie powstał nigdy z pracy i oszczędności właściciela, a zawsze z wyzysku cudzej pracy. Powszechna pogarda dlatego otacza bogaczy wiejskich, że są wyzyskiwaczami.

Kłamliwa, szeptana propaganda bogaczy wiejskich (czujących swe zasłużone odosobnienie), że państwo ludowe patrzy krzywym okiem i na średniorolnych chłopów, którzy z własnej pracy mają jaki taki dobrobyt — coraz bardziej wyśmiewana jest na wsi.

Nikt nie zalicza do bogaczy i nikogo nie kole w oczy zamożność ob. Stanisława Mazura, który posiada 8 ha ziemi w pow. wągrowskim (woj. poznańskie), 2 konie, 3 krowy, kilka sztuk trzody chlewnej. Przeciwnie, ob. Mazur jako pierwszy chłop w Polsce, za piękne wyniki swej uczciwej racjonalizatorskiej pracy (568 q buraków cukrowych z ha!) otrzymał wysokie odznaczenie — order Budowniczego Polski Ludowej.

Państwo ludowe otacza bowiem opieką mało i średniorolnych chłopów i chce, aby osiągali oni dzięki własnej pracy, coraz wyższy dobrobyt. Nie może jednak i nie będzie tolerować wyzysku cudzej pracy i spekulacji.

5. TRZEBA ZMUSIĆ BOGACZY WIEJSKICH DO PŁACENIA ZOBOWIĄZAŃ WOBEC PAŃSTWA

Bogacze wiejscy wyzyskując biedniejszą część wsi, spekulując na rynkach, jednocześnie uchylają się od świadczeń na rzecz dobra ogólnego, pragnąc w ten sposób wszystkie ciężary, związane z koniecznością rozbudowy całego naszego gospodarstwa narodowego, przerzucić tylko na barki klasy robotniczej i pracującego chłopstwa.

Nie wolno do tego dopuszczać. Chłopi mało i średniorolni winni w każdej wsi dopilnować, aby przede wszystkim bogacze wiejscy spłacali te wszystkie zobowiązania, jak podatek gruntowy, składki na Fundusz Oszczędnościowy Rolnictwa, składki ubezpieczeniowe itp., które na nich ciążą.

Należy również poruszyć opieszałych płatników, spośród pracujących chłopów, aby również swe niewielkie zaległości wobec Skarbu Państwa regulowali, gdyż każde opóźnienie wpłat, nawet niewielkich sum, pociąga za sobą poważne szkody w całej gospodarce i opóźnia rozwój gospodarczy i kulturalny mas pracujących.

Nieprawdą jest, że powinności wsi wobec Skarbu Państwa przekraczają zdolność płatniczą drobnych i średnich gospodarstw chłopskich.

Wszystkie zobowiązania wsi (podatek gruntowy i FOR, składki ubezpieczeniowe, wpłaty na Fundusz Ziemi, zwrot kredytów siewnych z lat ubiegłych itp.) nie przekraczają 10 proc. wartości produkcji rolnej i są niższe niż obciążenia klasy robotniczej.

Tak samo coraz więcej chłopów rozumie, że kraj nie może przejeść wszystkiego, co wyprodukował, że każdy, bogaty więcej, biedny mniej, musi część swych dochodów oddać na cele ogólne, na rozbudowę naszego gospodarstwa narodowego, aby wszystkim ludziom pracy było za rok lepiej i lżej żyć.

6. SPRAWIEDLIWA POLITYKA PODATKOWA

Czy naprawdę w Polsce Ludowej biedny płaci mniej, niż bogaty?

Przyjrzyjmy się tej sprawie, na przykładzie podatku gruntowego i FOR.

1) **2.135 tys. gospodarstw** (57 proc. ogólnej liczby gospodarstw) o przychodowości do 40 q żyta płaci podatku gruntowego przeciętnie mniej niż 943 zł z ha.

2) **926 tys. gospodarstw** (25 proc.) o przychodowości od 40 do 80 q żyta płaci około **2.000 zł z ha.**

3) **258 tys. gospodarstw** (7 proc.) o przychodowości od 80 do 100 q żyta, płaci podatku gruntowego i FOR około **4.800 zł z ha.**

4) **397 tys. gospodarstw** (11 proc.) o przychodowości powyżej 100 q żyta płaci podatku gruntowego i FOR około **7.500 zł z ha.**

Więcej więc niż połowa ogólnej liczby gospodarstw płaci podatku gruntowego rocznie mniej niż równowartość 50 kg żyta z ha, czwarta część równowartość około 100 kg żyta z ha, a tylko jedna dziesiąta część chłopów w Polsce płaci więcej niż równowartość 350 kg żyta z ha.

Narzekania, jakie się gdzieniegdzie na wsi słyszy z powodu nadmiernych jakoby obciążeń wsi, pochodzą jedynie i wyłącznie od małej, 10 proc. ogólnej liczby chłopów, stanowiącej, grupki bogaczy wiejskich, których państwo ludowe ograniczyło w wyzyskiwaniu biedniejszej części wsi.

Czas już wielki, aby bogacz przestał wydawać opinie w imieniu całej wsi.

Władza na wsi we wszystkich organizacjach społecznych i politycznych musi przejść w ręce bezrolnych, mało i średniorolnych chłopów i tylko oni mają wydawać opinie o potrzebach, bolączkach i możliwościach wsi.

A wroga klasowego, którego chciwość jest główną przeszkodą na drodze do szybkiego wzrostu dobrobytu i kultury podstawowych mas chłopskich — trzeba okiełznać i ograniczyć jego wpływy polityczne, gospodarcze i społeczne.

Nowy ustrój rodzi się w atmosferze walki z kapitalistycznymi elementami wsi, a nie w atmosferze ulegania im.

Stanisław Cieślak

ŁUKASZ KURDYBACHA

KLER PRZECIWKO KOMISJI EDUKACYJNEJ

Całkowite zeświecczenie oświaty polskiej, dostosowanie jej do obowiązujących *wówczas* form ustrojowych i celów politycznych państwa nastąpiło *jednak nie przez Szkołę Rycerską, lecz* przez powołanie do życia w 1773 r. Komisji Edukacji Narodowej. Jako instytucja wybierana przez sejm i działająca pod nadzorem króla, była Komisja Edukacji pierwszą w Europie państwową władzą oświatową, która obaliła wszystkie przywileje Kościoła w tej dziedzinie i objęła niepodzielne zwierzchnictwo nad całym wychowaniem młodzieży. Jej ustanowienie zamknęło ostatecznie w Polsce przedłużające się średniowiecze i rozpoczęło epokę świeckiej oświaty nowożytnej. Pod zarząd Komisji Edukacji oddano bowiem „wszystkie generalne akademie, gimnazja, kolonie akademickie, szkoły publiczne, żadnych nie wyłączając, z tym wszystkim, co tylko do wydoskonalenia nauk i ćwiczenia w nich młodzi szlacheckiej ściągać się może". W ten sposób zrealizowano zasadę, że „w każdym państwie edukacja do rządu stosowną być musi koniecznie" — jak twierdził Stanisław Staszic i zajęto stanowisko, że nie Kościół, lecz „rząd narodowy ma moc i prawo użycia obywateli do dobra ojczyzny i do niego należy różne przepisywać obywatelom życia sposoby".

W oparciu o te teoretyczne założenia przeprowadziła Komisja Edukacji gruntowną reformą całego społeczeństwa. Po ogłoszeniu jej Ustaw

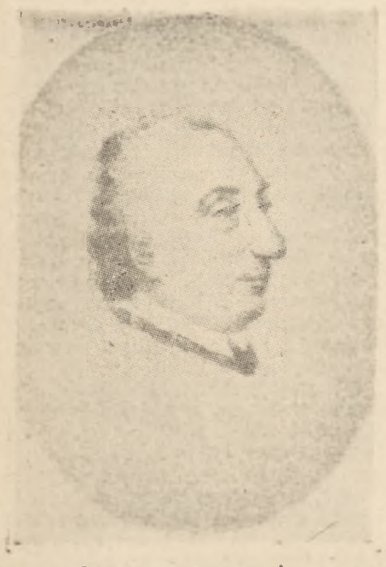

Grzegorz Piramowicz

Ignacy Potocki

Hugo Kołłątaj

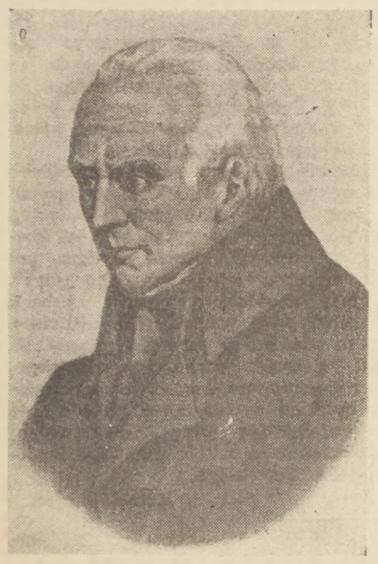

Stanisław Staszic (1755 — 1826)

w 1783 r. znikł ostatecznie ze szkół polskich kosmopolityzm kościelny, a jego miejsce zajęła kultura narodowa.

Pogardzany i lekceważony przez szkolnictwo kościelne język polski stał się językiem wykładowym na wszystkich stopniach nauczania. Łacina zeszła do roli jednego z języków; nauczano jej w podobnym zakresie jak języka francuskiego czy niemieckiego, a nawet jeszcze mniejszym, bo ograniczonym do rozumienia autorów klasycznych. Cały program nauczania był tak ułożony „aby młódź nabywała na wiek dalszy potrzebne światła, które by ją kierowały w życiu publicznym i prywatnym do zupełnego wykonania tego, co powinien człowiek, chrześcijanin i obywatel, aby sobie i drugim stał się pożytecznym". Dążenie do użyteczności nauk musiało oczywiście wyrugować dawny, pozaziemski cel wychowania. Znikł on nawet z nauki religii. Komisja Edukacji podkreślała z naciskiem, że religia nie może się ograniczać wyłącznie do praktyk kościelnych i platonicznej miłości Boga, lecz musi dbać o wypełnienie obowiązków człowieka na ziemi, o jego uczciwy stosunek do bliźnich i do pracy. Na przyzwyczajanie zaś młodzieży do pracy zwracała Komisja baczną uwagę. Chcąc przełamać w społeczeństwie zakorzenioną od czasów saskich skłonność do bezczynności, do składania pomyślnych i nieprzyjemnych zdarzeń życiowych na karb woli boskiej czy zrządzenia opatrzności, polecała tłumaczyć młodzieży, że „człowiek sobie wszystko, a kto inny nic mu nie winien, że sam starać się powinien o dobre mienie swoje, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest pracować, gdyż tylko przez pracę staje się użyteczny".

Celem ułatwienia wychowankom pożytecznej w ówczesnych warunkach pracy wprowadziła Komisja Edukacji, do programu szkoły średniej naukę rolnictwa, ogrodnictwa i wiadomości o zwierzętach domowych, polecała uczyć fizyki i chemii, szczególnie zaś tych ich działów, które mogły przynieść realny pożytek w praktycznym życiu. W trosce o podniesienie przemysłu polskiego uwzględniła w programie mechanikę oraz hydrostatykę z zastosowaniem ich do budowy fabryk, i młynów wodnych; tym samym celom miała służyć geometria i architektura, zarówno wojskowa jak i cywilna. Ze względu na konieczność przygotowania młodzieży szlacheckiej do życia publicznego umieszczono w programie naukę prawa narodów, ustawodawstwa polskiego i lekturę gazet, która do dzisiaj spełnia ważną rolę przy nauczaniu Polski współczesnej. Gdy porównamy ten program z którąkolwiek szkołą, zależną od Kościoła, zrozumiemy najlepiej jak wielkie znaczenie zarówno dla dalszego rozwoju nauk jak i życia publicznego miało upaństwowienie oświaty w Polsce.

Komisja Edukacji Narodowej powołana zasadniczo do przebudowania i nadzorowania szkolnictwa dla młodzieży szlacheckiej, poświęcała wiele wysiłków organizowaniu oświaty dla chłopów i mieszczan. Nie mając jednak na ten cel żadnych funduszów, musiała się przez długi czas ograniczać do apelów duchowieństwa, aby organizowało przy kościołach szkoły parafialne. W wyniku tej akcji w 1777 r. a więc w cztery zaledwie lata po powstaniu Komisji było już przeszło 300 szkół dla ludu, kształcących przeszło 5.000 dzieci. Po raz pierwszy w dziejach Polski dopuszczono do szkół elementarnych dziewczęta, którym Kościół zamykał dostęp do dobrodziejstw oświaty. Ponieważ jednak apele do sumienia i dobrej woli duchowieństwa nie dały spodziewanych wyników, Komisja Edukacji Narodowej przeprowadziła w 1789 r. ustawę nakazującą proboszczom pod karą pieniężną „chowania przy każdej parafii bakałarza, dla dania przynajmniej początkowej nauki młodzieży czytania, pisania i rachowania". Specjalne Komisje miały dopilnować wykonania tej ustawy. Dzięki niej szkolnictwo elementarne weszło istotnie w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej szlacheckiej na nowe drogi rozwoju.

Ażeby kler, zmuszony do utrzymywania szkół elementarnych nie prowadził ich wedle własnego uznania, Komisja Edukacji wydała Elementarz dla szkół parafialnych narodowych, uchodzący za jedno z najbardziej udanych dzieł pedagogicznych. Oparte na tym elementarzu nauczanie straciło całkowicie swój dawny, kościelny charakter. Miejsce niezrozumiałej łaciny zajął język polski, naukę ministrantury zastąpiła umiejętność dostosowywania pomiarów pola, a recytowanie Psalmów, zasady higieny. Pojawiali się też coraz częściej świeccy nauczyciele, przygotowani do zawodu w utrzymywanych przez Komisję Edukacji seminariach dla szkół średnich i parafialnych.

Komisja Edukacji Narodowej powołana przez władze świeckie dla objęcia w imieniu państwa kierownictwa nad oświatą i wychowaniem nie mogła oczywiście znaleźć uznania i poparcia władz kościelnych. Papież Klemens XIV wysyłając do Polski w 1773 r. zarządzenie o zniesieniu jezuitów, polecał ówczesnemu nuncjuszowi w Warszawie Józefowi Garampiemu, aby zarząd nad majątkami jezuickimi oddał biskupom, nie troszcząc się zupełnie o los szkół, prowadzonych przez Towarzystwo Jezusowe. Gdyby Stanisław August nie powstrzymał wykonania tych instrukcyj Watykanu, oświata w Polsce znalazłaby się w zupełnej ruinie. Uniknęła jej jedynie dzięki temu, że Stanisław August przygotował w największej tajemnicy projekt powołania państwowej władzy wychowawczej. Kiedy Garampi dowiedział się przez swoich szpiegów o planie królewskim, rozpoczął energiczne starania dla zabicia inicjatywy w zarodku. Nie wahał się nawet zwrócić o pomoc do ambasadora carowej Katarzyny, Stackelberga. W porozumieniu z nim i przy pomocy zręcznie rozsiewanych plotek, że Stanisław August po objęciu zwierzchnictwa nad oświatą, będzie dążył do władzy absolutnej, doprowadził do tego, że plan stworzenia Komisji Edukacji Narodowej omal nie upadł. Uratowała go ostatecznie zręczna taktyka króla. Gdy projekt uchwalenia państwowej władzy oświatowej pojawia się na sejmie, zaskoczony nuncjusz usiłuje przy pomocy opłaconych przez siebie posłów przeforsować uchwałę odraczającą na nieokreślony czas sprawy wychowania młodzieży. Ponieważ Stackelberg poparł inicjatywę króla, sejm uchwala powstanie świeckiej władzy oświatowej wbrew intrygom Garampiego i jego polskich przyjaciół.

Mimo przegrania sprawy na sejmie, Garampi nie rezygnuje z dalszych wysiłków, mających na celu zapewnienie Kościołowi wpływu na oświatę kierowaną przez Komisję Edukacji Narodowej. Domaga się natarczywie od króla, aby sejm uchwalił dodatkowo konstytucję upoważniającą biskupów do swobodnego wizytowania szkół, nakazującą każdemu nauczycielowi składać co rocznie wyznanie wiary na ręce odpowiedniego biskupa i gwarantującą seminariom duchownym zupełną niezależność od Komisji Edukacji. Ponieważ jednak król nie kwapi się z uwzględnieniem tych postulatów, Garampi opracowuje chytry plan opanowania całego szkolnictwa od dołu przez powierzenie wszystkich obowiązków nauczycielskich zakonnikom. Wobec tego, że Komisja Edukacji walczy z trudnościami finansowymi, nuncjuszowi udaje się stosunkowo łatwo zasugerować jej własny projekt oparcia szkół na nauczycielach zakonnych. Na prośbę Komisji Edukacji przesyła Garampi w styczniu 1774 r. cały plan do Rzymu. Później jednak nasuwają mu się różne wątpliwości, zwłaszcza kiedy się orientuje, że Komisja Edukacji będzie żądała od zakonów bezwzględnego wykonania jej przepisów szkolnych, nie pozwoli im na nauczanie w duchu poleceń kościelnych. Watykan jednak nie znający dokładnie całej sprawy, odnosi się przychylnie do projektu i zatwierdza go w sierpniu 1774 r.

Fakt ten nie rozwiązuje jednak zagadnienia. Garampi bowiem w liście okólnym dołączonym do zarządzenia papieskiego uzależnił nauczanie zakonników od tylu różnorodnych warunków, że w rezultacie niewiele tych klasztorów zgłosiło gotowość prowadzenia szkół. Komisja Edukacji upominała się daremnie do 1777 r. wydania przez nuncjaturę formalnego nakazu klasztorom przeznaczenia części zakonników do pracy oświatowej wedle jej przepisów. Gdy wreszcie apel do Rzymu nie wydał rezultatów, Komisja Edukacji zrezygnowała ostatecznie ze współpracy z zakonami i przystąpiła do wychowania świeckich nauczycieli.

Stały niepokój nuncjatury wywoływały tworzone przez Komisję Edukacji Narodowej nowe zasady wychowania. Garampi pragnąc zapewnić Kościołowi wpływ na pracę oświatową, wysłał do Komisji Edukacji w 1774 r. obszerny memoriał, w którym udawadniał, że religia powinna być głównym celem wszystkich wysiłków wychowawczych. Komisja jednak pominęła milczeniem jego wystąpienie. Wobec tego Garampi śledzi podejrzliwie dalsze jej poczynania, a nieufność jego pogłębiają eksjezuici, którzy przy różnych okazjach nadsyłają mu memoriały wskazujące na rzekome zaniedbania religijne w organizowanych przez Komisję szkołach.

Nieufność tę przejął od Garampiego w 1776 r. jego następca w Warszawie Jan Archetti, który odegrał poważną, choć niechlujną rolę w dziele reformy Uniwersytetu Krakowskiego. Komisja Edukacji Narodowej zrezygnowawszy ostatecznie w 1776 r. z pierwotnego zamiaru założenia w Warszawie l'Université Poloniatovienne, poleciła Kołłątajowi opracować szczegółowy projekt uzdrowienia starej uczelni krakowskiej. Ponieważ na czoło projektu wysunęła się sprawa niezbędnych funduszów, król na prośbę Komisji Edukacji wysłał prośbę do papieża o zniesienie zakonu miechowitów i przeznaczenie jego majątków na rzecz Uniwersytetu krakowskiego. Watykan po zbadaniu sprawy zaproponował zamiast kasaty miechowitów zmuszenie wszystkich zakonów w Polsce do opłat na utrzymanie Uniwersytetu. Obawiając się jednak pod wpływem Archettiego, że Komisja Edukacji będzie się kierowała przy reformie świeckimi potrzebami Polski zażądał od niej szczegółowych planów reformy. Komisja przedkłada w 1779 r. wspomniany już projekt Kołłątaja, który proponował zorganizowanie w Krakowie 5 wydziałów z nowożytnymi katedrami jak prawo natury, historia prawa polskiego, prawo międzynarodowe, języki nowożytne, weterynaria, chemia, fizyka itp.

Drażliwy i o niezwykle ciasnych horyzontach Archetti ustosunkował się do tego projektu wręcz wrogo. Twierdził on, że wiele katedr nowożytnych jest zupełnie niepotrzebnych, gdyż wystarczą podręczniki, a stanowisko profesorów na wszystkich wydziałach z wyjątkiem medycyny proponował powierzyć zakonnikom. Ponadto Watykan pod jego wpływem żądał od Komisji Edukacji Narodowej zobowiązania, że wszyscy profesorowie będą katolikami i każdy z nich będzie przed objęciem wykładów składał wyznanie wiary, że podręczniki będą dostosowane do dogmatów katolickich i że Polska wyda zakaz młodzieży polskiej wyjeżdżania na studia do zagranicznych uniwersytetów protestanckich. Ponieważ Komisja z obawy przed zbyt wielką zależnością Uniwersytetu Krakowskiego od czynników kościelnych takiego zobowiązania nie dała, Archetti tak przewlekał sprawę przyznania Uniwersytetowi funduszów zakonnych, że Komisja ostatecznie z nich zrezygnowała i przeprowadziła reformę własnymi środkami.

Niechęć Watykanu i nuncjatury warszawskiej do świeckiej oświaty, kierowanej przez Komisję Edukacji Narodowej znajdowała żywy oddźwięk w konserwatywnym obozie polskiego kleru. Rozszerzał on ustawicznie pogłoski, że wychowanie w świeckich szkołach Komisji Edukacji zdemoralizuje zupełnie polską młodzież, że straci ona wiarę w Boga lub przejdzie na wyznanie heretyckie. Znając przywiązanie wychowanej przez jezuitów szlachty do łaciny, zwolennicy szkolnictwa jezuickiego twierdzili, że nowe szkoły obniżają poziom umysłowy młodzieży, ponieważ bez języka łacińskiego nie można być naprawdę wykształconym. Największe zastrzeżenia i ataki wywoływały wprowadzone przez Komisję, a nieunormowane przez szkolnictwo kościelne nauki przyrodnicze. Zwalczano je przy pomocy argumentów, że są one wymysłem diabła lub też opierają się na czarach. Byli jezuici, zatrudniani przez Komisję Edukacji na stanowiskach nauczycieli, pragnąc wpoić uczniom przekonanie, że nauki przyrodnicze są niepotrzebne, udawadniali np. cytatami z Pisma Św. rozszerzanie się ciał pod wpływem ciepła. Inni znowu dążąc do ośmieszenia w opinii publicznej nauki zoologii, uczyli, młodzież przez cały rok takich zagadnień, jak np., że pies biały jest lepszy do pilnowania bydła, a czarny do strzeżenia domu, całymi miesiącami powtarzali elementarne wiadomości o chowie gołębi lub rozstrząsali kwestię jaki wół nadaje się do pracy. W wyniku takiego nauczania, rodzice twierdzili słusznie, że jest ono stratą czasu i oburzeni zabierali chłopców do domu. O to właśnie byłym jezuitom i innym wrogom świeckiej oświaty chodziło.

Byli jezuici i zacofany kler polski zwalczał też, nie przebierając w środkach, świeckich nauczycieli wychowywanych przez Komisję Edukacji Narodowej. Wyśmiewano ich nowoczesną wiedzę, rozszerzano pogłoski o ich nieuctwie, szydzono z ich świeckiego stroju, nazywano ich lokajami. Rodzicom wmawiano, że szerzą oni demoralizację wśród młodzieży, ponieważ zapraszają panienki na kawę i chodzą na publiczne spacery.

W wyniku takiej propagandy frekwencja młodzieży w szkołach Komisji Edukacji malała z roku na rok. Powstawały natomiast, mimo ostrych zakazów państwowych, tajne szkoły klasztorne, w których po dawnemu nauczano łaciny i wychowywano wedle znanych nam kościelnych metod. „Wszystkie zalecenia — pisał w 1786 r. jeden z wizytatorów Komisji Edukacji — mało co mogą, pokąd przesądy duchowieństwa o dzisiejszej edukacji nie ustaną i powagą zwierzchności duchownej uchylone nie będą. Nasze bowiem duchowieństwo, tak świeckie jak i duchowne, największą sprawuje przeszkodę do zaludniania szkół publicznych, gdy albo samo albo przez organistów i dyrektorów najemnych utrzymuje przy kościołach i klasztorach dawny sposób uczenia... Rektorowi zaś lub prorektorowi, gdy się kiedy wydarzy odwiedzić którą szkołę, albo go rządca kościelny nie przypuści do wizyty, grożąc mu jeszcze strasznym sądem Boga za zepsutą w kraju edukację przez nowo wynaleziony sposób uczenia, albo go tylko grzecznością odbędzie". Nic dziwnego, że po szeregu latach tego rodzaju propagandy obałamucona szlachta zaczęła się domagać przywrócenia zakonu jezuitów.

Wszystkie jednak intrygi, oskarżenia i ataki nie złamały Komisji Edukacji Narodowej. Działalność jej przerwała wprawdzie konfederacja targowicka, ale zrealizowana przez nią po raz pierwszy w dziejach Polski idea świeckiej oświaty pod zarządem państwowym zapuściła w narodzie tak silne korzenie, że we wszystkich zaborach w XIX w. była myślą przewodnią każdej inicjatywy oświatowej.

Łukasz Kurdybacha

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

WŚRÓD JANKÓW

70 km. do Warszawy, przy szosie radomskiej jest wieś Falęcice. W tej wsi małe, 4,5 hektarowe gospodarstwo ma Jarosz. Ma też syna — Józka. Jest jeszcze dwóch synów i córka, ale ci rozproszyli się po świecie. Jarosz nie może pracować; ma dopiero 58 lat, ale jest słaby, bolą go krzyże — „to po wojnie" — powiada. Pole uprawia sąsiad, potem razem zbierają — dzielą się po połowie. Jarosz mieszka z żoną w jednej nędznej izbie w oborze; dom wykańcza — buduje go już trzy lata i brak pieniędzy nie pozwala na skończenie. Zabudowania położone są na wzniesieniu, w dole w parokilometrowej odległości płynie Pilica.

Józiek od maleńkości miał zamiłowanie do grania. „Już się tak urodził na muzykanta" — powiadają o nim. Jeszcze nie umiał dobrze mówić, a już żądał, aby sprzedać przypadające na niego hektary i uczyć go za to muzyki. Gdy był malutki — ojciec robił mu harmonię z papieru — i tak grał „na niby". W czasie wojny siostrę wywieźli Niemcy na roboty do Prus — przywiozła stamtąd zgrabną harmonię Huberta. Mały nauczył się bardzo szybko sam grać. Potem przez jedne wakacje jeździł na rowerze do oddalonej o 6 km. wsi do skrzypka, który pokazywał mu nuty. Kiedyś Józiek zrobił kawał nauczycielowi. Wymyślił sam nowy „utwór", zapisał go i zawiózł nuty. „Mam nowy kawałek!". Nauczyciel zagrał, pochwalił, ale kiedy Józiek powiedział mu, że to jego kompozycja — zgniewał się i nie chciał grać tego więcej.

Chłopak grywał kolegom, w domu, na wieczorkach szkolnych. Na zabawach po wsi nie miał chęci grywać. „Byle łajza się upije i będzie mi urągać" — mawiał.

Matka była przeciwna jego zamiłowaniu. „Zostanie muzykantem, rozpije się, zbałamuci". Zapisała go do szkoły rzemieślniczej. Józiek nie chciał tam pójść — musiała jeździć jeszcze raz odbierać dokumenty. Ojciec sprzyjał chłopcu: „muzykant, jeśli jest człowiek akuratny, co sobie wypije to wypije, a pieniądz potrafi uszanować i wyjdzie na ludzi". Przypomniał sobie, że zna niejakiego Kowalczyka, który ma brata, grającego na oboju w najważniejszej orkiestrze w Warszawie. Kiedyś stojąc przy niedzieli koło obejścia, zobaczył znajomka. Zgadali się. Oboista zgodził się przesłuchać Józka. Pochwalił jego zdolności, dopomógł mu dostać się do Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej. Chłopak zdał egzamin celująco.

„Może i dojdzie do czego, byle spokój był na świecie" — powiada ojciec.

JANKO - MUZYKANT ZOSTAŁ JUNAKIEM

Część uzdolnionej młodzieży skierowano do orkiestry „Służby Polsce".

Zajął się nią serdecznie kapitan Jan Otów, kierownik zespołów muzycznych przy komendzie Głównej S. P. Kapitan jest kompozytorem, dyrygentem, gra na skrzypcach, klarnecie i akordeonie. Sam osiągnął awans społeczny dzięki Demokracji Ludowej. Przed wojną marzył nieśmiało, aby choć jeden jego utwór był wykonany w radio. Dzisiaj przeszło dwadzieścia jego marszów i piosenek nagranych jest na płyty i wykonywanych w licznych audycjach. Otów pochodzi z Suwalszczyzny znad jeziora Wigry. Zbierał melodie ludowe z tamtych okolic, niezwykle piękne a prawie zupełnie nieznane w kraju. Chętnie udostępniłby je do ilustracji muzycznej filmu.

W dziele wyławiania talentów wiejskich kpt. Otów współpracuje z L. Kurkiewiczem, Dyrektorem Państw. Średniej Szkoły Muzycznej.

Kurkiewicz jest chłopem z pochodzenia. Sam przeszedł mozolną drogę: od wiejskiego grajka do profesora konserwatorium (gry na klarnecie). Rozumie dobrze dążenia swoich uczniów. Jest aktywistą partyjnym, inicjatorem akcji konkursów.

— Junacy ze „Służby Polsce" grają w dużym, liczącym około 100 osób zespole instrumentów dętych. Orkiestra jest dobra, bierze udział w uroczystościach państwowych i młodzieżowych. Jest wyekwipowana w nowe instrumenty sprowadzone z Czechosłowacji. Junacy uczą się grać w godzinach wolnych od zajęć, najzdolniejsi z nich skierowani będą do konserwatorium.

Obok orkiestry dętej istnieje jeszcze drugi zespół muzyczny przy Kom. Gł. S. P., produkujący się w radio, w licznych instytucjach i zakładach pracy, popularny już dziś nie tylko w Warszawie, ale i na krańcach Polski. Kapelmistrzem tego zespołu jest 25-letni Ireneusz Łojewski.

LOS IRENEUSZA ŁOJEWSKIEGO

Krajobraz jezior augustowskich — jeden z najpiękniejszych w Polsce, kraj pięknej a zapoznanej pieśni ludowej.

Nad jeziorem krechowieckim — mały chłopak, jedynak, syn skromnego urzędnika drogowego, jako mały szkrab, w wieku przedszkolnym, dostał od ciotki skrzypce. Wiedział co to orkiestra i marzył o własnym zespole muzycznym.

Sielskie dzieciństwo przerwała okupacja. W r. 1943 aresztowano rodziców. Musiał ukrywać się w lesie, wstąpił do partyzantki.

Zrobił dla oddziału „muzykę". Chytrze jakoś napięty drut, z prymitywnymi przyrządami i menażką w roli rezonatora. Wydobywał z niego dźwięk podobny gitarom hawajskim i cieszył się aplauzem kolegów.

Kiedyś przyniesiono mu skrzypce; kiepskie a jeszcze bardzo zniszczone. Ale można było na nich grać. Kłopot tylko z kalafonią. Cały oddział rozbiegł się szukać jej w okolicy. Nigdzie ani śladu. Był jednak wśród nich pewien quasi-farmaceuta, ponoć z apteczną praktyką. Ten właśnie z przetopionej i odpowiednio spreparowanej żywicy zrobił nienajgorszą w tych warunkach kalafonię.

Robili akcję na jakiegoś agenta. W mieszkaniu zastrzelonego był akordeon — piękny, okazały, wymarzony. Nie wzięli go jednak. Nie potrafili.

O śmierci rodziców w więzieniu powiedział mu kolega: „nie ma sensu ukrywać tego przed tobą, musisz to znieść jak mężczyzna".

Wkrótce było po wojnie. Skończył się las, zaczęła się Łódź. Dostał się do Ludowego Instytutu Muzycznego. Bieda, małe możliwości. W gabinecie dyrektora usłyszał o zamkniętym konkursie na opracowanie muzyczne popularnej melodii: „Skowroneczek śpiewa". — „Czy mógłbym wziąć udział?" — zapytał odważnie.

— Ty? — zdziwił się dyrektor, obrzucając drwiącym spojrzeniem mizeraka w wytartej kurtce. „Możesz" — zakpił.

A jednak rzecz zakończyła się sukcesem. Dano mu możliwości stworzenia zespołu muzycznego. Nie było to jednak ukoronowaniem dawnych snów, zespół był marny,

WŁADYSŁAW KOWALSKI

POLOWANIE

(FRAGMENT POWIEŚCI „WINO")

Nabielak, parą jednakowej maści koni, bo dopożyczył od Wiewiórowego zięcia, zawracał już na gościniec, gdy tuż na zakręcie wyrósł nagle Wiewiór.

— Siadajcie, dziadku! — pożartował Nabielak, gdy starzec w tej chwili trrryknął na konie i niczem szesnastolatek hultnął przez latrę na siedzenie obok Jasiukiewicza.

— Tak mi nawet i zięć radził, koni pilnować — zelgał starzec. Paliła go ciekawość zobaczyć polowanie, dobrze mu się więc nadarzyło to zaproszenie Nabielaka.

— Zmarzniecie, dziadku — ostrzegł nauczyciel, widząc, jak starzec otula się w kapocinę.

Nabielak roześmiał się najpierw, potem odwrócił się do zięcia, siedzącego z tyłu i podkrzyknął:

— Ej! Co też Adaś mówi? Oni mają już tylko same gnaciny, a te im chyba wcale nie marzną. Chodzą w takie biedy, że... A dziś nawet wiatru nie ma.

Nauczyciel, mimo ciszy na świecie, wtulił jednak brodę w kołnierz i rozmyślał na zmianę to o pobycie brata, to o sobie. Było trochę dziwne to, że brat w ogóle przyjechał. Lecz to już były jego fanaberie.

Z zadumy wyrwał go Wiewiór, który wcale dziarsko siedział na wiązce i nawet chyba podgrzewał mu prawy bok, bo Jasiukiewicz cieplejszy się czuł od strony starego.

— To już Zabłudy — rzekł starzec i zdziwił się. — O, ale jak ten dwór opustoszał! — Lat trzydzieści tu nie byłem, co prawda, kupa czasu, ale że też opustoszał, bo opustoszał ten dwór.

Jasiukiewicz przetarł oczy i rozejrzał się. Wjeżdżali jakby w las z lewa a z prawa leżało niczym nie osłonięte rumowisko murów, od góry porosłych trawą, która zmarzła, zezerniała, miejscami sterczała kępkami ku górze, miejscami znów leżała jakby udeptana gładko. Słomiane dachy tych zabudowań gospodarskich wyglądały, jakby je potargała straszliwa wichura.

Już w bramie podbiegł ku nim podwórzowy. Wskazując prawą ręką na północ, gdzie przez załamaną aż do zrębu szczerbę w dachu widać było las, mówił do Jasiukiewicza:

— Panowie już tam może do lasu dochodzą. Niech wielmożny pan... strzelbę dla pana wzięli. Tylko jeśliby pan chciał śniadanie, to choć panowie tam mają — skinął głową na park — to pani czeka, można...

— Ja dziękuję, — rzekł Jasiukiewicz, spoglądając na teścia i Wiewióra. — Ale może by tak oni — rzekł.

— A dostaną! — podchwycił żywo podwórzowy.

W tej chwili Wiewiór mrugnął na Jasiukiewicza i odchylając z lekka kieszeń w paltocinie, pokazał załadowaną tam bryłę czarnego chleba.

— Wolę popatrzeć — rzekł — jak biją kotki, niż to tu śniadanie.

— Mieliście pilnować koni — roześmiał się nauczyciel.

— E, tu nie trzeba pilnować, bo można do stajni wprowadzić konie, a wóz sam nie ucieknie — odparł żartobliwie starzec i poczłapał za nauczycielem, zostawiając Nabielaka, który zgoła nie myślał pokazywać się państwu, próbował również Wiewióra od tego powstrzymać. Lecz Jasiukiewicz zachęcił starego, by sobie popatrzył na polowanie.

Szli gęsiego po roli, bruzdą. Przed nimi, w linii wschodnio-zachodniej, tyleż odległy od zabudowań folwarcznych, ile wynosiła jego długość, co najmniej kilometr, rozpościerał się stary, dębowy, a więc złoty w tej porze las, gęsto podszyty krzewami i rzadką sośniną. Sosny jakby te wartownice do pilnowania połyskujących w słońcu złotych skarbów, stały w dumnej powadze na straży. Strzelcy ubrani kuso, w butach do kolan, rozchodzili się już na stanowiska. Strzelby połyskiwały w słońcu. Generał, w siwej kurtce i żółtych butach, wiódł jakiś spór z kilku innymi, bodaj chciał iść na inne stanowisko. Został pierwszy na prawym skrzydle z jakimś chłopem. W lewo od niego zajął miejsce wysoki pan, również w żółtych butach. Następnym był poeta, jedyny w długim palcie i w kamaszach. Znów jakiś rosły pan z psem, a dalej profesor Marynowski, którego pochyłą, drążkowatą sylwetkę nauczyciel poznał z łatwością.

Kilku chłopów ustawiło się z tyłu za strzelcami.

— Ale któż jest ta? — mruknął do siebie nauczyciel, dostrzegając niewiastę, która stanęła obok profesora, bez fuzji, ruchliwa, żywo gestykulowała oburącz. Pozostali strzelcy szli jeszcze gromadką, jeden krępy, niski zatrzymał się o jakieś trzysta kroków od profesora. Na takiej odległości od siebie stawali wszyscy, opasując omal całą długość lasu.

— Alem kontent z tego, że mnie pan tu wziął — cmoknął nagle starzec tak smakowicie, że Jasiukiewicz nie mógł się powstrzymać od śmiechu. To rozkoszowanie się starca polowaniem wróciło mu humor, gdyż przedtem ogarniała go niechęć, zaczynał wyrzucać sobie, że właściwie niepotrzebnie przyjeżdżał, skoro niewiele go to wszystko razem interesowało: całe to polowanie i towa-

rzystwo. Odwrócił się i znów parsknął śmiechem. Starcowi gałki oczu wylazły spod sinych powiek, twarz stężała jak u przerażonego z nagła dziecka. Zapewne nie czuł, że wąsiny powłaziły mu w otwarte usta.

— To lubicie, dziadku, polowanie? — spytał nauczyciel.

Wiewiór uśmiechnął się chytrowato, podsuwając głowę ku Jasiukiewiczowi aż wyleniała, barankowa czapa musnęła go w czoło, posiał ręką:

— Jak przycele, ani kroku zając nie czmychnie — rzekł. Jeno, że mi tu przecie nie dadzą strzelać, tyle, że sobie popatrzę.

W tym momencie starzec dostrzegł nagonkę. Daleko jeszcze, hen, ledwie oko dojrzało, na miejscach nieosłonionych drzewami, lub wzgórzami, poruszały się postacie ludzkie. Z prawa, na skraj boru szły dwa zające. Chwila i hultnęły jeden za drugim przez rów, przebiegły drogę, znów skok i znikły w lesie. Starzec znów cmoknął.

— To tu będzie, ha! Chyba zgonią wszystką zwierzynę do lasu, a potem na tę stronę. Wtedy się zacznie... Będzie jak...

Trzask wystrzału przerwał tę paplaninę Wiewióra. To generał zabił ptaka, który spadł pionowo na ziemię tuż przy lesie, w odległości stu kroków od generała.

Emocja zaczęła działać. Jasiukiewicza, mimo, iż dawno nie zaznał rozkoszy polowania, podniecił ów generalski wystrzał. Ruszył żwawiej, skręcając ku bratu.

Poeta wyszedł z linii kilkanaście kroków, przywitali się i podał Adamowi strzelbę.

— Posterunek twój za generałem — wskazał na prawy kraniec lasu przy drodze i przyjrzał się Wiewiórowi. — A to co? Swoją pomoc masz?

— Tak jest! — odparł Adam i skinął na starego, by szedł za nim. Mijali strzelców z tyłu, kłaniając się im. Generał wypalił do drugiego ptaka, który zwolna opadł prawie tuż u jego nóg.

— To dzika kura — zdziwił się, przystając starzec. — A ja myślałem, co to takiego; duże, a fruwa inaczej niż wrona. Dawnom tego już nie widział.

Generał odwrócił na chwilę twarz, uśmiechnął się i poprawił Wiewióra. — Ta kura nazywa się bażant.

Wiewiór zdjął czapkę, jakby dziękując generałowi za naukę, ukłonił się i powtórzył głośno nazwę ptaka. Spojrzał po linii strzelców i zamarł w sobie. Niewiasta przedtem rozmawiająca z wysokim, chudym panem szła teraz żwawo po roli, wyraźnie kierując się czy to do generała, czy do niego. Wiewiór poznał w niej tę osobę, którą rok temu wykpił, gdy namawiała kobiety, aby założyły przedszkole we wsi, jak już wsi po komasacji nie było. — Kto by to te dzieci nosił z końca świata — pomyślał Wiewiór z żalem, że ta pani chyba nie pozwoli mu tu stać. Jeszcze raz spojrzał. Tak, to była ta sama czarnula, Igańska. Oczy duże, jak kasztany. Wtedy było lato, teraz miała na sobie granatowe palto z kołnierzem futrzanym. Stary obawiając się jakiejś nieprzyjemności, ruszył bruzdą w stronę folwarku, słyszał jej ciche kroki najpierw za sobą, potem z lewej strony. Spojrzał ostrożnie i dostrzegł, że go już minęła. Szła prosto do nauczyciela, który już zajął posterunek ze sto kroków od drogi. — Chyba mnie nie poznała — pomyślał stary. Lecz nie ryzykował podejść bliżej wstydząc się jakichś wymówek. Rozglądając się dokoła wykombinował, że można stanąć tymczasem za sosną, jedyną, która ocalała po wyciętym już borze za drogą. Obszedł więc z tyłu, rad, że Jasiukiewicz, zajęty rozmową z Igańską nie zwraca na niego uwagi. Już spoza sosny wyglądając, dostrzegł, że Jasiukiewicz rozgląda się chyba za nim. A więc nawet nie widział go jak szedł drogą. Tym lepiej pomyślał stary, usiadł na grubym korzeniu, mógł na nim nawet leżeć, lecz wtedy straciłby jednak z oczu strzelców. Póki Igańska nie odejdzie zdecydował nie pokazywać się. Oczekując na strzał, posłyszał jakieś szmery w lesie i jakby ciche dukanie gołębia. Dopiero teraz spostrzegł, że cały ten długi las ma wszystkiego ze trzysta kroków szerokości oraz rzadkie drzewa, jedynie gąszcz krzewów, zasłaniając prześwit na wylot mami oczy, że to jeszcze duży las. Znał ten las, ongiś bardzo duży i zdziwił się, że jedynie tyle z niego ocalało, a w tej kiszce żyją jeszcze bażanty.

— I to musi ich być dużo, skoro dwa już wyszły z lasu, a przecie jeszcze nagonka nie podeszła — rzekł starzec do siebie i w tejże chwili zamarł w pień. Generał nerwowo podrzucił strzelbę do ramienia i wypalił dwa razy. Ptak jednak ulatał, lecz dosięgnął go strzał nauczyciela.

— Spudłowałem, bo miałem strzelbę na ramieniu — zawołał generał, trzymając już teraz strzelbę w pogotowiu.

Gdzieś tam w końcu lasu padły dwa strzały.

Wiewiór wrzepił chciwie oczy w gąszcz, lecz nie dostrzegł nic. W lesie panowała zupełna cisza. Echo strzału, który znów padł gdzieś tam od niewidocznego strzelca, uderzyło w tym strzępie lasu słabo, jak trzask kija.

— Ktoś już musi płoszyć tymczasem w lesie, póki tamci z nagonki nie nadciągną — domyślił się Wiewiór. I w tej chwili uczuł potrzebę wejścia do lasu. Uczatowawszy odpowiedni moment, gdy nauczyciel żywo rozgadał się z Igańską, a generał zamarły w słup patrzył w las, skoczył przez drogę. Biegł prędko, obawiając się iż mógłby go śrut dosięgnąć. Przysiadł za krzakiem prawie u wylotu przeciwnej strony tego pasa byłego lasu i tu mocniej doleciało go owe jakieś dukanie, ciche, ostrożne, ale już wyraźnie ludzkie. Idąc chyłkiem stary wyjrzał za las. Po niwie ozimin skakały w stronę lasu trzy zające, a za lasem rozległy się znów cztery wystrzały. Nagonka już teraz wyraźnie zataczała olbrzymie koło.

Nie obawiając się już tu strzału, starzec zaszył się w las ze trzy pręty od drogi i przywarował za krzakiem jałowca. Dostrzegłszy chłopa o babskiej twarzy, przedzierającego się przez krzewy, spostrzegł, że chłop ów trzyma pod lewą pachą worek, z którego wygląda żywy łeb zajęczy.

— A to znów co? — zdziwił się w duchu, warując aż chłop wyjdzie zza drugiej kępy jałowca, gdzie się chwilowo skrył. Idąc po chwili ostrożnie za owym chłopem, Wiewiór dostrzegł całą gromadę chłopów. Przywarował więc w pobliżu za jałowcem, spoza którego mógł dokładnie obserwować to jakieś dziwne zjawisko.

Uszeregowani w dwa rzędy, na wprost, ale z dala od siebie chłopi śmiejąc się i gawędząc z cicha, trzymali pod pachami worki, nad którymi strzygły zajęcze uszy. Z trudem powstrzymując śmiech, starzec dostrzegł, że chłopów dzieli ledwie dostrzegalny płotek z cienkich tyczek, poprzywiązywanych sznurkami do drzew i krzewów. Teraz zrozumiał wszystko. Jak chłopi puszczą zająca, to musi biec prosto, między żerdkami aż na skraj lasu, gdzie go strzelcy upolują. Posunąwszy się głębiej w las, stary dostrzegł, że jeszcze inni chłopi ukryci za drzewami podrzucają do strzału bażanty. Stary cichutko wycofał się z lasu na drogę i podążył do nauczyciela, który na szczęście był już sam.

— Gdzie to przepadacie, dziadku? — spytał nauczyciel, gdy starzec zbliżył się na odległość dziesięciu kroków. — Nie widzieliście, jak zastrzeliłem bażanta?

Wiewiór zatkał usta rękawem kapociny, aby stłumić głośny wybuch śmiechu. Podchodząc, zataczał się jak pijany.

— Co wam się stało, dziadku? — Zaniepokoił się nauczyciel, zabezpieczając fuzję, by przyjść z pomocą staremu, gdyż zdawało mu się, że nagle zaniemógł.

— Mało mi skóra nie pęknie na brzuchu ze śmiechu — wykrztusił z trudem Wiewiór, odwracając się tyłem do generała, by ten go nie usłyszał. — Pan tu strzela, a szkoda prochu, bo te ptaki i zające to i tak są przecie już złapane.

Jasiukiewicz cofnął się o krok. — Co wy mówicie? — rzekł, wytrzeszczając tak oczy aż mu łzami zaszły powieki, ledwie dostrzegał starego, który dalej chichotał w rękaw kapociny.

— Niech pan idzie — skinął głową starzec, opanowując się.

— Ale niech pan strzelbę i tego ptaka zostawi na brzegu lasu, bo chłopi nie powinni wiedzieć, że pan jest gościem dziedzica, będą milczeć.

Nauczyciel poszedł za starcem.

Obraz był tak diablo dziwny, że Jasiukiewicz na chwilę zapomniał o sobie, dwa wystrzały za lasem odbiły się w jego uszach echem cichego szelestu starych liści, gdy się na nie nadepnie. Obejrzał się za siebie. Wiewiór kucał tuż z prawej strony i śmiał się w rękaw. Oczy starego spod opadłej na czoło czapy świeciły niczym krople wody w półmroku. Starzec drżał cały ze śmiechu, aż ramiona podskakiwały do góry.

Ale Jasiukiewicz w tej chwili poderwał się na nogi i ruszył ku chłopom wprost przez krzaki.

— Co to za zabawa? — spytał naiwnie.

— A no, jak pan widzi — odparł rudy, mały chłop, wybuchając wraz z innymi cichym śmiechem. Po opanowaniu się wskazał na okratowany z dwóch stron przelot i dokończył: — złowiliśmy wczoraj te zające na polu Mendelsona w Adamcach. Takie sieci wielkie zawiesili w polu, a my naganialiśmy zające w te sieci. Jak nagonka podejdzie blisko, będzie się co kawałek puszczać kota między te zapłotki i poleci wprost na strzelca — skinął głową w las ku strzelcom. — Tam stoją z bażantami. Kupili te ptaki gdzieś, chyba ze sto, a my mamy te zające i bażanty puszczać głównie na generała.

— Czegoś podobnego nie umiałby wymyśleć Chryzostom Pasek, — rzekł do siebie nauczyciel.

— Kto to taki ten Pasek? — zapytał jeden z chłopów i zaraz dodał. — Niech pan mówi ciszej, żeby my tu darmo nie stali, bo jeszcze nam nie zapłacili, a pan Pokwikiewicz kazał milczeć. No ale niech pan powie o tym Pasku, kiedy jeszcze zmyślniejszy był od naszego dziedzica.

— Po co to strzelać, kiedy już złapane, można pozarzynać — wtrącił Wiewiór, nie widząc sensu w próżnym traceniu naboi.

— To już my się tam na szlacheckich gustach nie znamy — odpowiedział ten sam chłop, dzięki któremu Wiewiór odkrył całą imprezę.

— Co to za figiel? pytał sam siebie w duchu Jasiukiewicz, nie wątpiąc, że impreza ta musi mieć swój cel. W tej chwili w wyobraźni stanęły mu zrujnowane budynki, a postać rosłego pana z psem zarysowała mu się znajomą twarzą Popieleckiego, prezesa banku. — Tak, to on! — szepnął niedosłyszalnie, domyślając się wszystkiego. Bank państwa ma za to polowanie suto zapłacić.

— Słuchajcie — rzekł nauczyciel do chłopów — czy jeszcze gdzie stoją z zającami?

— Nie — odpowiedział ów niski chłop o niewieściej twarzy. — Reszta, co nagonka spędzi, pójdzie jak popadnie. Tylko z bażantami rozstawili się gdzieniegdzie po lesie dla zamydlenia oczu. Ale najwięcej stoi tu na wprost generała.

— A Pokwikiewicz dużo ma długu?

— Fiu! — gwizdnął domyślnie jeden z chłopów. — To o to chodzi! A my naprawdę myśleliśmy, że to takie zbytki. Tymczasem tu, jak nie przymierzając, my wójtowi w gminie, panowie po swojemu wyprawiają fundę, aby zdobyć pieniądze. Widzita? — rzucił w zdumione oczy chłopów.

— Czy tu można jakoś obejść do folwarku aby się tym panom strzelcom nie nawijać na oczy? — spytał nauczyciel.

Chłop objaśnił, że za drogą jest maleńka rzeczka, zarośnięta olchą, tam można się ukryć.

— To pan już nie będzie strzelał? — zdziwił się Wiewiór. — No, a ten bażant i fuzja?

— Zabierajcie sobie bażanta, a fuzję oddajcie mojemu bratu — rzekł Jasiukiewicz, ruszając w las.

— E, — machnął niechętnie ręką Wiewiór, gdy nauczyciel odszedł — zepsułem sobie cały smak. Byłbym się napatrzył.

Chłopi porozumieli się wzrokiem. — Jakto? To był strzelec?

— I jeszcze jaki — pochwalił Wiewiór. — Od jednego strzału bażanta zabił. — Stary zawrócił w las. Pośpiesznie wydostał się na drogę, obszedł polem, aby przypadkiem nie dostać się pod obstrzał. Słyszał z różnych stron dolatujące głosy naganiaczy i coraz częstsze strzały, lecz już na nic nie zwracał uwagi. Nie

mówiąc nic, strzelbę oddał posługaczowi generała, bażanta ukrył pod kapotą i tą samą bruzdą, którą przyszli, podążył do dworu. Gdy wszedł na zupełnie bezludne podwórze, konie stały już u dyszla gotowe do drogi. Nauczyciel oczekiwał go przy bramie. Chwycił za rękę i napominał szeptem:

— Dziadku, proszę was, abyście o tym cudzie nie rozpowiadali, bo mnie wstyd za brata.

— Dobrze jest — przyrzekł stary — ledwie wstrzymując śmiech. Usiadł na wiązce obok Nabielaka, który zapewne myślał, że zięcia nie dopuszczono do polowania. płonął w oczach ciekawością i wstydem.

— Co się stało? — szepnął Wiewiórowi do ucha, gdy wyjechali z podwórza i wóz terkotem głuszył słowa.

— Obym tak żył jeszcze drugie tyle lat, nie wiem! — zaprzysiągł się starzec, odwracając twarz ku lasowi, gdzie teraz rozlegały się trzaski, jakby naraz z wielu sosen łamano gałęzie.

Jasiukiewicz siedząc sam z tyłu na wiązce słomy wtulił brodę w kołnierz palta i milczał

Władysław Kowalski

MUZYKANTÓW II*)

nawet się rozleciał. Równocześnie „wielka, jedyna w życiu" miłość do pewnej Jadwigi, młodej śpiewaczki. „Była, mówiąc między nami, bardzo pusta". Nieoczekiwanie wyszła za mąż... za innego. Równocześnie kompletny krach materialny. Młody chłopak nie wytrzymał tego wszystkiego. Całkowicie załamany psychicznie uciekł nad jezioro, do kraju dzieciństwa.

Spokój, cisza. oderwanie od świata i ludzi. Wujostwo zdziwaczali po wojennej stracie dzieci, żyjący raczej z przyzwyczajenia. Stary wuj zbierający cały rok zioła, czestujący nimi chętnych i niechętnych, przyrządzający napoje niesmacznie cierpkie i przykro gorzkie. Kochająca ciotka, z którą chłopak mógł spędzać całe godziny bez słowa. Kiedyś jeżdżąc łódką usłyszał pastuszka wygrywającego ciągle od nowa ten sam strzęp melodii, niepokojący, ostatecznie smutny. Na tym motywie napisał potem pierwszą swoją kompozycję.

Pragnienie nauki, pragnienie muzykowania przywiodło go do Warszawy. Przyjechał bez grosza, zamieszkał u znajomych. Całymi dniami krążył wokół konserwatorium nie mogąc odważyć się na wejście. Gdy wszedł nareszcie — nie pobył tam długo. Oświadczono mu kategorycznie, że miejsc nie ma, że trzeba czekać do nowego roku szkolnego. Przedłużająca się gościna u znajomych żenowała go coraz bardziej. Skłamał w końcu, że spotkał kolegę, który ma mieszkanie i wyprowadził sie do poczekalni dworcowej. Było lato, na ławce spało się nienajgorzej, parę groszy zawsze zarobił odnosząc bagaże podróżnym.

Dostał sie w końcu do konserwatorium. Wtedy już poszło gładko. Po jakimś czasie zmontował z kolegami zespół muzyczny, oparty na repertuarze ulubionych melodii ludowych, bojkotując tzw. „muzykę lekką", która go zawsze mierziła. Na któryś z koncertów w „Samopomocy Chłopskiej" trafił kpt. Otów ze „Służby Polsce". Rezultatem owego spotkania było spełnienie marzeń hodowanych od dziecka. Łojewski jest dziś kapelmistrzem dużej, liczącej około 30 osób orkiestry komendy Głównej S. P. Podczas ostatnich wakacji jeździł po kraju; byli na wybrzeżu, byli na Śląsku. W Siemianowicach grali w kopalni, pod ziemią. „Jeszcze tego nie było" — powiedział stary górnik, naprawdę wzruszony.

U RZEMIEŚLNIKÓW

Na Pierwszym Ogólnowarszawskim Festiwalu Młodzieżowych Zespołów Artystycznych — pierwsze miejsce w konkursie zespołów tanecznych zajął 21 Państwowy Ośrodek Szkolenia Zawodowego. Ten sam Ośrodek uzyskał jeszcze jedno chlubne wyróżnienie: drugą nagrodę w konkursie orkiestr dętych.

21 Ośrodek mieści się przy ul. Złotej 58, prowadzi go Ministerstwo Budownictwa. Jest to dwuletnia średnia szkoła rzemiosł budowlanych. Przyjmuje 18-latków z siedmioklasową szkołą powszechną. Po dwuletniej nauce absolwent otrzymuje dyplom czeladnika w zawodzie (np. hydraulika, ślusarza, cieśli, czy stolarza) i małą maturę, dającą prawo wstępu do liceów budowlanych. Uczy się tutaj około 300 chłopaków, wszyscy mieszkają w bursie. W 95 proc. rekrutują się z biedoty wiejskiej.

W ośrodku kwitnie życie artystyczne. Jest 35-osobowa orkiestra dęta, związana z ZMP i Służbą Polsce, jest chór, zespoły taneczne, recytatorskie, inscenizacyjne. Akcję tę prowadzi prof. Dylewicz, samouk, grający na wszystkich instrumentach.

Udział w zespołach świetlicowych jest ochotniczy. Nie ma zresztą kłopotu o chętnych; chłopcy palą się do tego. Nie brak jednostek wybitnie uzdolnionych, jak np. 22-letni Zbigniew Pińkowski z okolic Łomży, zamiłowany tancerz. W czasie wojny był w Rosji, tam urzekło go piękno tańców ludowych, a przede wszystkim kozaka. Nie lubi tańca salonowego i tzw. nowoczesnego, kocha najbardziej kujawiaka i krakowiaka. Taniec artystyczny jest marzeniem jego życia, stara się o dostanie do zespołu Domu Wojska, co nie jest rzeczą łatwą. Pińkowski projektuje również dekoracje i kostiumy. Tańce ludowe robi w duecie z córką prof. Dylewicza,

W osiedlu jest nauczyciel szewstwa. Był początkowo majstrem wiejskim na lubelszczyźnie. Jako wybitny fachowiec — cholewkarz dostał się na wykładowcę do Warszawy. Pasją tego człowieka są instrumenty muzyczne. Skupował je przez lata w tajemnicy przed rodziną, zatajając przed żoną wysokość zarobków. Ma obecnie 45 różnych instrumentów, wartości paru ładnych milionów złotych. Wypożyczył je chętnie zespołowi Ośrodka. Sam nie umie grać, robi tylko werbel w orkiestrze. Przychodzi jednak na wszystkie próby, słucha jak chłopaki grają na tych jego instrumentach i płacze.

W URSUSIE TEŻ GRAJĄ

W Ursusie pod Warszawą znajduje się Ośrodek Szkolenia Zawodowego Ministerstwa Przemysłu, przygotowujący do zawodów metalowych. Obejmuje szkołę Przemysłową, Gimnazjum Przemysłowe i liceum Przemysłowe. Skupia około 960 uczniów, w tym 53 proc. pochodzenia wiejskiego i 27 proc. pochodzenia robotniczego.

Orkiestra Ośrodka jest jednym z reprezentacyjnych zespołów muzycznych „Służby Polsce" Instrumenty dał ZMP, a potem „SP" — instrumenty czeskie.

Znajdują się tutaj chłopcy z całej Polski (większość jednak z terenu woj. Warszawskiego), wyłowieni z I Batalionu Odbudowy Warszawy im. Janka Krasickiego. Przyszli do szkoły bez umiejętności muzykowania. Kiedy tworzył się zespół — zgłosiło się 100 chętnych do nauki muzyki. Po roku selekcji utrzymał się zespół 40 najzdolniejszych. Orkiestrę dętą prowadzi prof. Fitak z Filharmonii Warszawskiej.

Orkiestra ma w repertuarze około 50 utworów — przeważnie marsze i melodie ludowe. Promieniuje na całą okolicę — 17 niedziel pod rząd dawali koncerty po wsiach. Każdy program jest z reguły powtarzany trzykrotnie: dla szkoły, dla fabryki i dla gminy.

TO DOPIERO POCZĄTEK

Wojewódzkie egzaminy eliminacyjne organizowane przez Szkoły Muzyczne, umuzykalnianie młodzieży w szkołach zawodowych i Służbie Polsce, skierowywanie najzdolniejszego elementu do konserwatorium — to dopiero początek wielkiej akcji wyławiania talentów muzycznych ze wsi polskiej.

Związek Samopomocy Chłopskiej projektuje organizację około 80 powszechnych Poradni Muzycznych przy wszystkich szkołach muzycznych na terenie całego kraju. Zawiadomienia o poradniach ukażą się w pismach, w radio i w świetlicach.

Ministerstwo Kultury i Sztuki w ramach planu 6-cio letniego zamierza uruchomić kursy muzyczne dla młodzieży wiejskiej we wszystkich miastach wojewódzkich.

Stanisław Marczak - Oborski

*) patrz „Wieś" Nr 46.

JAKUB LITWIN

UTOPIA ZRODZONA Z KRYTYKI KAPITALIZMU

Karol Fourier

Książka Armanda i Maublanca*) kreśli portret i koncepcję społeczne Fouriera na tle epoki i warunkami społecznymi stara się wyjaśnić genezę jego falansteru.

Francja tego okresu (1772—1837) ma strukturę złożoną, skomplikowaną i dość nieprzejrzystą. Kapitalizm ogarniał coraz szersze połacie życia społecznego. Przeobrażał je w sposób rewolucyjny, ale zarazem chaotyczny i żywiołowy: wraz z przemysłem przyniósł kryzysy gospodarcze i bezrobocie, bezustannie wznosił i załamywał linię koniunktury gospodarczej, pomnażał zdolność produkcyjną Francji i jednocześnie pomnażał liczbę tych, którzy nic nie posiadając musieli sprzedawać jedyny, posiadany przez siebie towar: siłę roboczą. Wszystko zamieniał w towar, który można kupić i sprzedać, wszystkiemu nadawał wartość wymienną: zarówno rzeczom, jak i stosunkom międzyludzkim. Zniszczył, uświęcone tradycją i „wolą Boga", patriarchalno-feudalne więzy społeczne, które przykuwały poddanego do jego „naturalnego" pana (odesłałby też zapewne samego Boga do lamusa przestarzałej tradycji, gdyby przemyślna burżuazja — to ucieleśnienie kapitalistycznych stosunków społecznych i ideałów — nie ujrzała klasowego interesu w restauracji jego królestwa „nie z tego świata"), a ponad wszystkimi świętościami postawił pieniądz, który stał się podstawowym probierzem wartości społecznej, godności, szacunku, gwarantem nienaruszalności rodziny i cementem stosunków między ludźmi — zarówno indywidualnych, jak i klasowych. Przyniósł wolność — która dla proletariuszy była wolnością nieposiadania, równość — która była dla nich równością w nędzy i znoju, braterstwo— które było zapewne najostrzejszą ironią na wyzysk proletariuszy, jaką wymyślił bourgeois.

„Jednakże — jak pisze Engels — produkcja kapitalistyczna, a wraz z nią przeciwieństwa między burżuazją a proletariatem były jeszcze w tym okresie bardzo nierozwinięte". Proletariat nie uformował się jeszcze w klasę samodzielną, świadomą swej odrębności społecznej a tym bardziej politycznej. Stanowił dotąd wyłącznie armię rewolucji burżuazyjnej, co prawda stał na jej najbardziej wysuniętym skrzydle — nie umiał jednakże samodzielnie przekroczyć Rubikonu ustroju kapitalistycznego. Proletariusze, jako klasa, nie rozumieli — i nie mogli jeszcze zrozumieć — że do ich społecznego wyzwolenia prowadzić może tylko i wyłącznie rewolucyjne obalenie kapitalizmu.

W istocie rzeczy to „społeczeństwo ujawniło tylko swe anomalie" (Engels) — nie wskazało jednak praktycznych możliwości rozwiązania spiętrzających się trudności i przeciwieństw. Ci, których raziła wadliwość istniejącego ustroju mogli conajwyżej marzyć o doskonalszym społeczeństwie — brakło im jednak materialnych warunków po temu, by ustrój ten urzeczywistnić. Krytyka kapitalizmu mogła prowadzić bądź do planów restauracji ancien régime'u — bądź do utopijnych marzeń o przyszłym, idealnym społeczeństwie.

Taki obraz społeczeństwa widział Fourier. Znał go dokładnie, od podszewki, jak uważny zegarmistrz mechanizm zegarka. Był komiwojażerem, podróżował po Francji, prowadził rozgałęzione interesy handlowe i nieraz chaos kapitalizmu uderzał go bezpośrednio po kieszeni. Nie dziw, że dość szybko zrozumiał, iż ustrój— który filozofowie XVIII-wieczni wychwalali, jako idealny i wieczny — jest od podstaw pełen wewnętrznych sprzeczności. Pisał, że „w cywilizacji nędza wynika z samego nadmiaru", że „lata nadmiaru stają się klęską dla rolnictwa", że — jak słusznie stwierdzają Armand i Maublanc — „ustrój gospodarczy, który ma przed oczyma nie może trwać bez śmiertelnego niebezpieczeństwa dla ludzkości, że radykalna przebudowa społeczeństwa jest niezbędna i bliska". Jakże więc reagował na zło społeczne i na ustrój, który według przepowiedni powinien być uosobieniem rozumu (przez duże R) — w rzeczywistości zaś rodził kryzysy, nędzę i wyzysk?

Pytanie jest zasadniczym problemem pracy Armanda i Maublanca. W zasadzie odpowiedzieli na nie prawidłowo: pokazali Fouriera, jako twórcę utopii falansterowej i określili warunki społeczne, które zrodziły utopię i w istocie rzeczy nie mogły prowadzić do innych wniosków, niż utopijne. Koncepcję falansteru zobrazowali w jej pełnej złożoności, podkreślając zarówno jej wielkość jak i fantastyczność, wskazując elementy, które przejął proletariat, budując socjalizm, i te, które były tylko fikcją.

Czy jednak pokazali Fouriera w całej jego wielkości? „Jeżeli u Saint-Simona widzimy genialną dalekowzroczność, dzięki której niemal wszystkie nie ściśle ekonomiczne idee późniejszych socjalistów znajdują się u niego w zarodku, to u Fouriera spotykamy się z krytyką ówczesnych stosunków społecznych, skrzącą się iście francuskim dowcipem, lecz mimo to sięgającą niemniej głęboko — pisze Engels (w „Rozwoju socjalizmu od utopii do nauki") — Fourier chwyta za słowo burżuazję, wraz z jej entuzjastycznymi prorokami sprzed rewolucji, tudzież z jej interesownymi chwalcami po rewolucji. Obnaża bezlitośnie materialną nędzę świata burżuazyjnego, przeciwstawia jej zarówno mamiące obietnice dawnych myślicieli Oświecenia, obietnice ziszczenia społeczeństwa, w którym panować będzie tylko rozum, obietnice nadejścia wszechuszczęśliwiającej cywilizacji, obietnice rozwinięcia się bezgranicznej zdolności ludzkiej do doskonalenia się, jako też frazesy współczesnych mu ideologów burżuazyjnych, zabarwiających świat na różowo. Wykazuje, jak najszumniejszemu frazesowi odpowiada wszędzie najnędzniejsza rzeczywistość i zjadliwie wyśmiewa to beznadziejne fiasko, fiasko frazesu. Fourier jest nie tylko krytykiem, jego niezmiernie pogodna natura czyni go *satyrykiem i to jednym z największych satyryków wszystkich czasów.* Maluje szachrajską spekulację i powszechnego ducha kramikarstwa, przenikającego ówczesny handel francuski... *Jednak w całej swej wspaniałości ukazuje się Fourier dopiero w swym pojmowaniu historii społeczeństwa.* (podkr. moje— J. L.). Armand i Maublanc przytaczają coprawda tę wypowiedź Engelsa — w pracy swej jednak dziwnym trafem pomijają krytyczną twórczość Fouriera. Książka jest niemal wyłącznie poświęcona problemowi genezy społecznej i opisowi utopijnej koncepcji falansteru (nieco miejsca poświęcono też metafizyce Fouriera). Wolno było bezwątpienia autorom ograniczyć zakres tematu, pewne zagadnienia podkreślić, inne pominąć. Wydaje się jednak, że wiele traci wielkość Fouriera, a także problem genezy falansteru — jeśli się pomija — i nie omawia dość szczegółowo — jego krytyki kapitalizmu. Nie bez przyczyny zapewne omawia i zaznacza Engels w pracy („Rozwój socjalizmu od utopii do nauki"), która ma za zadanie, wyjaśnić źródła intelektualne socjalizmu naukowego, przede wszystkim fourierowską krytykę kapitalizmu — pomija zaś cały balast utopijnych koncepcji (które zawierają — należy tu przyznać całkowitą słuszność Armandowi i Maublancowi — wiele płodnych pomysłów). W podobny sposób — podkreślając przede wszystkim elementy krytyczne twórczości Fouriera — postępuje Roger Garaudy w „Les sources francaises du socialisme scientifique" — i czyni słusznie, choć przy tym zbyt ostro ocenia falanster i niesłusznie zapewne określa Fouriera, jako ideologa drobnomieszczaństwa. Nie bez przyczyny też zapewne w zamieszczonym pod koniec książki wyborze z pism Fouriera, ustępy o charakterze krytycznym zajmują znacznie więcej miejsca, niż ustępy, odnoszące się do opisu utopii. Dlaczego jednak brak analizy twórczości krytycznej wielkiego utopisty w monografii Armanda i Maublanca? Czyżby powodem był wpływ jakichś przestarzałych tradycji spółdzielczych, które wielkości Fouriera szukały przede wszystkim w jego utopii? Albo być może — co wydaje się bardziej prawdopodobne — książka stanowi krytykę niesłusznego i konserwatywnego rozumienia utopii falansterowej przez spółdzielców starego typu? W wyniku jednak obraz Fouriera nie jest pełny i całkowity.

Sprawa wydaje się pozornie błaha. Czy rzeczywiście?

Jakie jest metodyczne postępowanie autorów? Najprzód opisują epokę — co jest niewątpliwie ważne, następnie kreślą biografię Fouriera, z dość szczegółowym wyliczeniem jego niepowodzeń handlowych, mizantropii i dziwactw, w końcu opisują jego metafizykę i strukturę falansteru. Brak w tym ciągu jednego — i to dość istotnego — członu: Poglądu Fouriera na kapitalizm, na jego wady i niedomagania. A bez niego falanster wyrasta z głowy Fouriera, jak Atena z głowy Zeusa. Armand i Maublanc stwierdzają coprawda, że Fourier „jest... niezwykle wrażliwy na bezwład cywilizowanego społeczeństwa; dostrzega, że wszyscy lub prawie wszyscy cierpią z tego powodu lub przynajmniej narażają się na ewentualność cierpień. W epoce, w której żyje, wielkie majątki rozpadają się równie szybko, jak powstają: kapitalizm nie osiągnął jeszcze równowagi i bezpieczeństwa". Czyż to nie za mało dla wyjaśnienia skomplikowanej struktury falansteru, który stanowić miał według Fouriera zaprzeczenie a zarazem odpowiedź na realne, praktyczne bolączki epoki — czy stanowił odpowiedź wystarczającą, to sprawa inna. Gdzie się podziało to świetne obnażenie kapitalizmu, koncentracji kapitału, kosmopolityzmu bankierów, prawa własności, beznadziejności drobnej gospodarki chłopskiej, pauperyzacji, oszustwa burżuazyjnej wolności i wielu, wielu innych kapitalnych, prekursorskich spostrzeżeń, w których geniusz Fouriera objawia się w całej swej wspaniałości. Brak poglądu Fouriera na kapitalizm i krytyki kapitalizmu nie pozwala zrozumieć w jaki sposób, drogą jakiego rozumowania przeszedł on od konfliktu z kapitalizmem do utopijnej koncepcji falansteru. Droga zaś do utopii była i musiała być następująca: Fourier żył w społeczeństwie kapitalistycznym, zraził się do niego, *przeprowadził ostrą krytykę,* szukał następnie sposobów naprawy zła społecznego — i stworzył falanster **).

Zarzucając analizę fourierowskiej krytyki kapitalizmu Armand i Maublanc pomniejszają — zapewne nieświadomie — rzeczywistą wielkość Fouriera a równocześnie potęgują jego utopijność i osłabiają metodologiczną i logiczną konstrukcję książki. I jeszcze jedno zagadnienie. Armand i Maublanc (a wraz z nimi Julian Hochfeld w przedmowie) starają się wielokrotnie znaleźć te elementy fourieryzmu, które przejął marksizm, i które zbliżają Fauriera do socjalizmu naukowego. Niedostatecznie jednak — niewątpliwie z wyłożonych wyżej powodów — podkreślają, (jeden cytat z Engelsa sprawy nie tylko nie załatwia, ale stanowi dysonans z ogólnym tokiem książki), że socjalizm naukowy brał z Fouriera przede wszystkim jego krytykę i jego teorię rozwoju społecznego — jak na to wskazuje przytoczona wypowiedź Engelsa. Tylko bowiem krytyka fourierowska miała charakter naukowy. Czy nie korzystali jednak z jego koncepcji przyszłego społeczeństwa? Podobne twierdzenie byłoby niesłuszne. Ale Marks i Engels wielokrotnie podkreślają (w swych listach a szczególnie mocno zostało to podkreślone „W kwestii mieszkaniowej" Engelsa), że nie przedkładają żadnych recept przyszłego społeczeństwa socjalistycznego. Z badania i krytyki kapitalizmu wnioskują jedynie, że ogólny kierunek rozwoju społecznego prowadzi do obalenia kapitalizmu i utworzenia społeczeństwa socjalistycznego. Wychodząc zaś z naukowego badania praw rozwojowych mogą nakreślić jedynie podstawy, — naukowy zarys ustroju socjalistycznego. Do badania zaś i krytyki kapitalizmu, jak również konstatowania praw rozwoju społecznego, bardziej pomocną była im niewątpliwie fourierowska krytyka — niż utopia. Krytyka kapitalizmu a nie utopia zbliża też Fouriera do socjalizmu naukowego.

Mimo tych niedociągnięć książka Armanda i Maublanca jest wartościowym przyczynkiem do poznania przedmarksistowskiej myśli socjalistycznej. Zapełnia istotną lukę na polskim rynku księgarskim.

Jakub Litwin

*) F. Armand i R. Maublanc-Fourier, Książka i Wiedza, Warszawa, 1949

**) Na marginesie warto zaznaczyć, że kilka obrazów niepowodzeń handlowych Fouriera, które podają Armand i Maublanc są zupełnie nie wystarczającym wyjaśnieniem genezy jego metafizyki falansteru, a szukanie w nich źródeł utopijnych koncepcji, stanowić może jedynie dość prymitywne socjologizowanie. Nie wystarczy bowiem do zrozumienia twórczości indywidualnej myśliciela poznanie li tylko zewnętrznych warunków społecznych, należy jeszcze poznać jego czynną reakcję, aktywną apercepcję tych stosunków. Wówczas dopiero zamyka się dialektyczny krąg rozumowania.

ZBIGNIEW WASILEWSKI

KULISY ZACNEGO MIESZCZAŃSKIEGO ŻYWOTA

Historia wieku XIX to dzieje *ostatecznego zwycięstwa lecz i powolnego rozkładu burżuazji.* Najlepiej widoczne jest to na przykładzie dziejów Francji, które — jak słusznie i może dość złośliwie stwierdzono — układały się tak, jak gdyby kształtowali je marksiści dla potwierdzenia marksowskiego prawa rozwoju społeczeństw.

Karol Marks, pisząc w r. 1852, bezpośrednio po zamachu stanu Ludwika Bonaparte, swą genialną analizę historyczną tej parodii rewolucji, zaczął ją przypomnieniem dotychczasowego rozwoju burżuazji francuskiej. W latach 1789—95 Desmoulins, Danton, Robespierre, Saint-Just przywdziewali rzymskie kostiumy i brali rzymskie frazesy na usta, by uwolnić z feudalnych więzów i ustanowić nowoczesne społeczeństwo burżuazyjne. Gdy tylko nowa formacja społeczna ukształtowała się za Napoleona — kostiumy odrzucono, a „społeczeństwo burżuazyjne w swej nagiej rzeczywistości stworzyło sobie właściwych wyrazicieli i rzeczników w postaci Sayów, Cousinów, Boyer - Collardów, Benjamin - Constantów i Guizotów; jego prawdziwi przywódcy zasiadali przy kantorku w biurze, a jego głową polityczną była nalana sadłem głowa Ludwika XVIII".

Ta demaskacja i degrengolada postępowała i rozwijała się w miarę rozwoju burżuazji i wzrostu jej wpływów. W latach 1848—51 „błąkało się jedynie widmo starej rewolucji": Caussidiere zamiast Dantona, Louis Blanc zamiast Robespierra, Bailly w roli Marata i wreszcie Bonaparte — nędzna karykatura pierwszego konsula i cesarza. „Hegel powiada gdzieś — pisze Marks, — że wszystkie wielkie historyczne fakty i postacie powtarzają się, rzec można, dwukrotnie. Zapomniał dodać: *„za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa".*

To kapitalne rozszyfrowanie *dekadenckiej fazy historii burżuazji* można z powodzeniem kontynuować poprzez okres cesarstwa i wojny domowej we Francji roku 1871. Dochodzi wtedy do poprzedniej litanii jedno jeszcze nazwisko: Thiers — okres imperializmu jest już bezimienny. Spośród miernot - prowodyrów burżuazji od 1871 po Daladiera i Herriota czy Bluma do Panteonu historii wejdą już tylko kukły, tym tylko zaznaczone w dziejach, że *uporczywie tamowały rozwój społeczeństwa ku wyższej formie ustrojowej,* że w lęku o renty i akcje swej klasy tłumiły wyzwoleńcze, rewolucyjne dążenia klasy nacierającej. Druga połowa wieku XIX i wiek XX to już tylko dzieje kurczowego oporu.

Procesowi rozkładu burżuazji — rozkładu jej myśli politycznej i naukowej, jej moralności i światopoglądu — towarzyszy nieodzownie rozkład sztuki. Tylko nieliczni, najlepiej patrzący pisarze dostrzegają i potrafią ocenić symptomy rozkładu. Ale i oni — Maupassant, Zola, France — *ograniczeni są wąskością horyzontów swej klasy.* Mieszczański realizm krytyczny od Balzaca poprzez artystowskiego Flauberta — załamuje się w świadomym ograniczaniu pola widzenia Zoli.

Na tym tle zdarzają się niekiedy odstępstwa ideologów — pracowników pióra z pozycji rozkładającego się mieszczaństwa. *Mieszczanin widzący* dochodzi czasem do proletariatu — częściej zatrzymuje się w pół drogi, na pozycji krytyki klasy, z której odszedł. Właściwa kontynuacja mieszczańskiego realizmu krytycznego w XX wieku to *satyra — często paszkwil — na mieszczaństwo,* pisany ręką mieszczanina. Drogę pokazał Anatol France.

Taką satyrą o posmaku paszkwilu jest książka Maxa Daireaux *)

*

Po lewej stronie przed oknem, nieco odsunięte, stało biurko pana Brossard. Był to wspaniały mebel — jeżeli nie z epoki Ludwika XIV, to w każdym razie w tym stylu; w czterech rogach wspierało się na brązowych postaciach niewieścich o ciałach skręconych od pasa w dół spiralnie; całość była tak suto obłożona brązem i złotem, że nawet taki parweniusz jak Colbert pozazdrościłby tego biurka. Pan Brossard pracował przy nim niewiele; ale lubił tam siadać, aby wydawać polecenia, przyjmować czyjeś odwiedziny, lub w samotności gotować się do jednej lub drugiej z tych czynności. Usiłował wtedy przybierać postawę pełną godności siedząc wyprostowany, z dłonią spoczywającą na książce żałował, że nie sportretował go w tej pozie któryś z współczesnych malarzy kontynuujących tradycję Largilleierów i Rigaudów..."

To biurko i przyjmowana przy nim poza są skrótem mentalności i postawy właściciela jako przedstawiciela klasy mieszczańskiej. Blichtr, imitacja i fałszywa dostojność, poza i napuszona sztuczność — oto, co pozostało burżuazji z dawno minionego heroicznego okresu klasy. Obraz ten rozwinie Daireaux szerzej: samolubstwo i krańcowy egoizm zamiast ofiarności, chciwość złota i wątpliwej sławy w wąskim światku drobnomieszczaństwa zamiast patriotyzmu, farbowane uczucia zamiast szlachetności serca i myśli... Mieszczańska „solidność" wyklarowała się w całkowitym zastoju życia, które osiągnęło już wszelkie cele poza celami doraźnej uciechy i pomnożenia dochodów. I dlatego pan Brossard tak panicznie boi się rewolucji, której pomruki słyszy w każdym zebraniu ulicznym.

Nauka była niegdyś zdobywczym orężem tej klasy — dziś zastąpił ją irracjonalizm, czcza mistyka ludzi pustych i próżnych, mdłe religianctwo pozujące na świętość. Nawet salon — ta światła instytucja, w której wśród intelektualnych igraszek dojrzewała rewolucja burżuazyjna — jest już tylko siedliskiem płaskich plotek i bezmyślnych intryg, zmierzających do kojarzenia małżeństw. Bohaterstwo zastąpione zostało przez troskę o zapasy żywności, heroizm — przez troskę o stan akcji na giełdzie.

Zacny żywot pana Daniela Brossard ma być jednym z przeciętnych — i przez to typowym żywotem paryskiego mieszczanina w okresie pierwszej wojny światowej. Autor nie popełnił tu błedu w wyborze postaci. W kręgu drobnomieszczańskim przeciętne jest typowym — inaczej niż wśród proletariatu. Ale bo mieszczanin do niczego już nie dąży, nic nie ma do osiągnięcia, nic do zdobycia prócz większej ilości gotówki lub akcii. Daireaux nie popełnił też omyłki w wyborze czasu powieści. Jest nawet pewna, z pewnością zamierzona złośliwość autora w tym, że losy wojny w tak małym stopniu wpływają na codzienne życie postaci, że interesują pana Brossard i jego otoczenie tylko wtedy, gdy mogą zagrozić ich dochodom i awansom — że zmagania narodu z obcym imperializmem są tylko powodem do narzekań mieszczaństwa na ograniczenia żywnościowe lub trudności zdobycia służby — ale nie zakłócają najzupełniej abstrakcyjnych rozważań Daniela Brossard o kwestiach łaski, świętości lub potępienia.

Pan Brossard wydaje rano dyspozycje służbie i odwiedza chorą żonę w jej pokoju, gdzie dla uspokojenia sumienia odstawia zwykłą, uciążliwą porcję troskliwości małżeńskiej. Od 11 do 12-ej urzęduje w biurze Towarzystwa Ubezpieczeń. „Szedł tam, jak inni chodzą do Lasku — nie, żeby im to sprawiało przyjemność, ale, ot, byli tam wczoraj, chodzili tam zawsze i gdyby nie poszli, nie wiedzieliby, co z sobą zrobić. Z laską o złoconej gałce pod pachą, z kapeluszem mocno nasadzonym na głowie, kroczył, zajmując środek chodnika; wszystko w jego postaci mówiło o dobrze ugruntowanym majątku, o pochodzeniu z solidnej burżuazji, o mocnych żądzach i sytym samolubstwie..."

Od południa do godziny piętnastej Brossard spożywał obfite, mocno zakrapiane śniadanie, po czym po krótkim spacerku odwiedzał swego introligatora. Książki były bowiem — obok piwnicy pełnej wina - manią jego spokojnego mieszczańskiego żywota. Ale bibliofilstwo pana Brossard ogranicza się do kolekcjonowania pięknych, safianowych, welinowych i skórzanych opraw, które lubi pieścić „pietystycznym ruchem prałata lub kochanka". — Książki jako przedmioty do wachania, ogladania i gładzenia — i ta namiętność nie ma już żywej treści, pozostała tylko pusta, choć piękna forma.

Również lektura pana Brossard, której poświeca wieczory, nie jest chlubną kartą jego zacnego żywota. Ukazany w powieści pięcioletni jego wycinek nie przypadkiem zamknięty jest w ramy spotkania z oprawnym w pąsowa, prążkowaną złotymi nićmi okładke mszału egzemplarzem swawolnych przygód „Eleonory czyli osoby szczęśliwej". Gęsto ilustrowane sprośne wyczyny podkasanej dziewicy należą — obok innych, podobnych utworów — do ulubionych dzieł pana Brossard. Tyle wiedzy o świecie potrzeba mu jako strawy duchowej.

Ale zarysowany tu za powieścią wizerunek żywota człowieka poczciwego burżuazji francuskiej pierwszej połowy XX wieku nie byłby pełny, gdyby pominąć zagadnienie, które zajmuje przeważną ilość kart książki: zagadnienie religii.

Ściślej mówiąc: religianctwa. Tutaj zaczyna sie drugi i główny rozdział satyry Maxa Daireaux: satyry na szczególną kreacie mentalności drobnomieszczańskiej: na fałszywą bigoterię, na zakłamana dewocję, na nonsens bezmyślnej postawy fideistycznej.

Nie sposób streszczać tu dziejów „nawrócenia" pana Brossard pod wpływem zmarłej żony Teresy i pozostawionych przez nią dewocyjnych pamiętników. To banalne i nudne dzieło kobiety chorej, skazanej na samotność i dewocję — na skutek różnych okoliczności stało się powodem utopijnego przełomu wewnętrznego pana Brossard, który dla zadośćuczynienia pozie zbolałego wdowca i dogodzenia własnej próżności pragnął uchodzić za męża świętej.

Temat ten, rozprowadzony w sarkastycznych opisach psychologicznych przez większą część książki, daje autorowi sposobność zdemaskowania nie tylko całego szeregu fałszów postawy dewocyjnej, ale również zwyrodnienia i matactw różnych instytucji kościelnych. Bzdurstwa i przeraźliwie niski poziom olbrzymiej ilościowo literatury dewocyjnej („dzieło" Teresy rozchodzi się w 100.000 egz.), kulisy cudów w Lourdes, konkurencja między świętymi, zależna od ilości pątników i składanych przez nich ofiar na klasztory, głupota dewotek i nonsensowność instytucji relikwii, niedwuznacznie ziemskie kulisy procesów beatyfikacyjnych, i jeszcze raz kulisy stosunków watykańskich, cudów św. Januarego czy katolickiej akcji wydawniczej — oto tylko wybrane przedmioty akcji dekonspiracyjnej Maxa Daireaux.

Przewodnikiem i opiekunem pana Brossard w tej części książki jest dominikanin Autrand, który (z powodzeniem) stara się doprowadzić go do furty klasztornej. Ten to zacny kapłan „nabrał (w Watykanie) przenikliwości, zręczności i mocy". Stał się „amatorem salonów, rozmów towarzyskich, wykwintnej kuchni"... Kuchnia i piwnica, przyciąganie bliźnich na ścieżke zakonną oraz nienawiść do papieża Leona XII, który zmarł, zanim zdążył spełnić obietnicę mianowania go biskupem — te sfery spraw i te zajecia absorbują całkowicie ojca Autrand. Jego rozmowy z panem Brossard sięgają jednak głębiej w sferę zagadnień teologicznych (por. zwł. str. 131 — 134). I tutaj Daireaux zagląda w tajniki religii od kulis interpretacji jej prawd objawianych przez jej dostojników i wyznawców. Brak miejsca nie pozwala na szczegółowe zreferowanie tych skomplikowanych spraw i każe odesłać czytelnika do samej książki.

Najbardziej wyrafinowanym, choć tym razem nie wolnym od zastrzeżeń co do typowości i nawet prawdopodobieństwa chwytem kompromitującym religianctwo jest pokazanie wpływu tej postawy na dalsze losy pana Brossard. Pod maską pobożności i pozorami powołania klasztornego kryje on całkowitą obojętność religijną, pychę i miłość wyłacznie ku sobie. Przyjęta rola prowadzi go w rozpustne życie, w pijaństwo, chciwość i skąpstwo, w nienawiść do ludzi. Stan półobłakania i wreszcie śmierć z przenicia w przeddzień wstąpienia do klasztoru zamykają ziemską droge pana Brossard. Doprowadzenie go przez autora na te drogę, aczkolwiek nie pozbawione pikanterii oraz ozdobione finezyjnym dowcipem i ironią, jest z pewnością zbyt skrajnym postawieniem sprawy. Daireaux „przefajnował". Prawdziwy Brossard żyłby nadal w atmosferze świętości i szacunku sobie podobnych.

I tu dopiero byłoby — i jest — prawdziwe zło społeczne.

„Kulisy zacnego żywota" to książka, mimo skrajności, niewątpliwie pozytywna, bo postępowa i wartościowa społecznie. Wiele problemów współczesności polskiej sugeruje z aktualnością zadziwiająco żywą (cud lubelski, dewocja, kulisy religianctwa...). Dlatego szkoda, że bardzo udany przekład Gabriela Karskiego został pominięty milczeniem przez prasę literacką i jak by nie zauważony przez czytelników.

Warto go przypomnieć choćby w rok po wydaniu.

Zbigniew Wasilewski

*) Max Daireaux: „Kulisy zacnego żywota". Tłumaczył Gabriel Karski. Warszawa, 1948. Sp. Wyd. „Wiedza". Str. 255.

TADEUSZ ŻOCHOWSKI

ŚWIT

Nad wsią,
nad Polską
ogromny wstaje świt —
tysiącami szkół i fabryk
rosną
światła wielkich dni.

Rozstawią się traktem od miasta
słupy elektryczne w rząd,
w każdej chacie zapali gwiazdkę
prąd.

W te święta
sukienki w barwne paski
wyprasują dziewczęta
elektrycznym żelazkiem.

Przytulone do swoich najmilszych
pójdą na spacer w zielony sad,
ustami podobnymi do wiśni
będą szeptać, jak zmienić świat:

— Zbudujemy asfaltową ulicę,
po której, jeszcze w lat naszych maj
będą iść w zawody z księżycem,
światła elektrycznych lamp.

Postawimy spółdzielczą piekarnię,
koło drogi — las owocowych drzew
pełną garścią będziemy zagarniać
życie zamienione w radość i śpiew.

Lecz nie każdy, nie każdy ma serce
dla tej wiosny otwarte na oścież,
— po nocach błąka się jeszcze
starej krzywdy ponury nietoperz...

Lecz wierzymy wiarą prostych
[i mocnych
w niedościgły siły naszej wzlot —
słyszysz, jak bije serce naszej wio-
[sny?
jak rytm wyznacza robotniczy
[młot?

Dłubanie pługiem w pojedynkę
pora najwyższa zarzucić,
słyszycie żelazną muzykę?
— idą na wieś traktory
chłopom służyć.

Na drodze
obłokiem wzbija się pył;
nad obłok
nasz uśmiech się wzbił...

Ziemio żywiąca,
gromado chłopska —
we wspólnym wysiłku — do słońca
rośnij spółdzielcza wsi polska!

EDMUND NIŻIURSKI

LITERATURA AZJATYCKICH NARODÓW RADZIECKICH

B. Nurali — Kołchozowe święto zwycięstwa (1945)

Każdego bezstronnego obserwatora uderzyć musi równorzędny udział, jaki w życiu kulturalnym Związku Radzieckiego biorą narody azjatyckich republik ZSRR. Niezawodnym miernikiem poziomu kulturalnego państwa jest poziom tych jego regionów, które uchodziły za najbardziej zacofane. Dlatego wielką wymowę ma taka oto garść faktów:

Kazach Auezow Muchtar otrzymuje w bieżącym roku nagrodę stalinowską za powieść „Abaj". W tym samym czasie prasa donosi o wielkich sukcesach kazachskiej śpiewaczki Kulesz Bajseitowej w Moskwie.

Na Kongresie Pokoju w Paryżu czołowym przedstawicielem ekipy radzieckiej jest pisarz tadżycki Mirza Tursun Zade.

Jednym z największych wydarzeń bieżącego roku poetyckiego w ZSRR jest poemat azerbejdżańskiego pisarza Mameda Rahima „Nad Leningradem".

Rocznicę puszkinowską upamiętniły szczególnie żywo uroczystości w Abchazji i Osetii z udziałem najlepszych artystów ludowych.

Fakty te nabierają szczególnie ostrego wyrazu, gdy uprzytomnimy sobie, że miały one miejsce; na terenach, które zaledwie przed trzydziestu paroma laty były najbardziej zacofanymi kulturalnie obszarami dawnego imperium carskiego, zamieszkałymi przez ludy odsunięte od cywilizacji, wegetujące w stanie ciemnoty i analfabetyzmu w ramach skostniałego feudalizmu, gdzie dogasały szczątki tradycji azjatyckich kultur sprzed wieków.

Możemy więc w pełni docenić wielkość niespotykanego w historii rewolucyjnego skoku, który wyniósł te prymitywne społeczeństwa do wyżyn współczesnej kultury radzieckiej.

W sprawozdaniu politycznym Komitetu Centralnego na XVI Zjeździe WKP (b) Stalin wykazał, że zacofane narodowości można włączyć do sprawy budownictwa socjalistycznego w sposób należyty tylko poprzez rozwój kultur narodowych w formie — socjalistycznych w treści.

„Należy umożliwić rozwój kultur narodowych wyzwalając cały potencjał, aby stworzyć warunki dla zlania się ich w jedną wspólną kulturę z jednym wspólnym językiem" — (patrz „Wieś" 46 M. Kammari „Stalin o rozkwicie kultur narodowych").

Urzeczywistnienie tych postulatów znalazło najdobitniejszy wyraz w rozwoju twórczości literackiej wschodnich narodów ZSRR.

Narody te posiadały starodawne tradycje literackie.

Tadżyckie utwory Omara Hajama weszły od dawna do literatury światowej. Tadżycy chlubią się słusznie genialnym poetą Firdusim i jego pięknym poematem Szachname.

Kazachowie przechowali od niepamiętnych czasów pieśni bohaterskie — ich epopea narodowa „Kabłandy-Batyr" to dzieło na miarę Iliady.

Zjawisko nagłego rozkwitu kulturalnego wschodnich republik ZSRR nie ma precedensu w historii. Zjawisko to obaliło poglądy burżuazyjnych historyków i socjologów, że nie mogą obok siebie rozwijać się równorzędnie dwie kultury narodowe wyższa i niższa przy ścisłym związku politycznym i gospodarczym, że stan taki musi wkrótce doprowadzić do pochłonięcia drugiej przez pierwszą. Teza ta popierana była przykładami, od dziejów ekspansji starożytnej Grecji i Rzymu do współczesnych zjawisk zachodzących na terenach „kolonizowanych" przez imperialistów zachodnich.

Uczeni burżuazyjni popełnili tu jednak swój typowy błąd wynikający z zapoznania nauki materializmu dziejowego, ze zjawiska zachodzącego w przejściowych warunkach gospodarczych i społecznych na pewnym etapie historii, uczynili ponadczasowy historyczny dogmat.

Ustrój socjalistyczny obraca w niwecz te pojęcia. Socjalizm stał się dla kultur narodowych łożyskiem, gdzie zachodzą dwa równoległe procesy: emancypacja a następnie szybki rozkwit kultur narodowych oraz ich wzajemne bogacenie się treściowe o wartości, które przynosi internacjonalizm socjalistyczny. Współczesną literaturę ludów Związku Radzieckiego porównać można do różnorodnego lasu wysokopiennego rosnącego na tej samej urodzajnej glebie, gdzie równomierny wzrost jednych drzew uwarunkowany jest wzrostem innych.

Ciekawe szczegóły dotyczące pisarstwa Kazachstanu przynosi wnikliwy artykuł L. Jakowlewa w 4-tym numerze „Literatury Radzieckiej".

Kazachowie jeszcze w połowie XIX-tego wieku nie posiadali żadnego dzieła literackiego pisanego, nie posiadali nawet własnego języka literackiego. Ludność kazachska była niemal w całości niepiśmienna.

Ojcem literatury kazachskiej stał się dopiero Abaj Kunanbajew (1845 — 1904). Nawiązał on bliższe stosunki z rewolucjonistami rosyjskimi zesłanymi do Kazachstanu i zbliżył Kazachów do literatury rosyjskiej, zaznajamiając ich między innymi z Puszkinem we własnych tłumaczeniach. Obok Abaja duże zasługi na polu oświaty w Kazachstanie położył Czokan Walichanow, uczony i literat związany z postępowymi działaczami rosyjskimi.

Jakowlew trafnie podkreśla fakt, że budzenie się narodu i kultury Kazachstanu odbyło się w wyniku i na płaszczyźnie zetknięć z ruchem rewolucyjnym i w walce z imperialistycznymi prądami panislamizmu.

Po Rewolucji Listopadowej odwróciła się karta historii Kazachstanu. Równocześnie z szybkim zagospodarowaniem i uprzemysłowieniem kraju wzrosła oświata i nastąpiło odrodzenie kultury.

Żywym symbolem tych przemian jest poeta kazachski Dżambuł. Oto nieprawdopodobne, fantastyczne na miarę bajek Wschodu, a jednak prawdziwe i typowe dzieje „zmartwychwstania" Dżambuła. 70-cio letni w czasie Rewolucji poeta, który w okresie młodości „...niósł po bazarach i po jarmarkach swe tęskne piosenki, swe bóle i łzy", a w wieku lat 50-ciu złamany nędzą i prześladowaniem „w rękach miast dombry miał kij, miast szerokiego stepu wąskie posłanie i czuł, że kona, bo już dobrych pieśni śpiewać nie umiał" — narodził się jakby od nowa.

„Zda się młodość Dżambuła mu cudem zwrócono,
Zda się znowu zawrzała jak kumys mu krew,
Zda się znów wyprostował on plecy zgarbione,
Zda się zęby młodzieńcze wyrosną mu wnet".

Tak zaczął śpiewać stary „akyn". Dalsze 30 lat wypełniła mu prawdziwie młodzieńcza twórczość. Zmarł w 1945 r. jako 100-letni starzec.

Współcześni poeci kazachscy opiewają przemiany, jakie zaszły w życiu radzieckiego Kazachstanu i wycisnęły piętno na, zdawałoby się, niewzruszalnym krajobrazie pustyń, stepów i gór.

W zbiorku najnowszych poezji pod tytułem „Słoneczny dzień Kazachstanu" czytamy wiersz Amanżołowa o Syr-Darii — rzece, która użyźniła pustynię.

„Przy wtórze dźwięcznej dombry
Często tu w letnie wieczory
Brzmi piosenka o Syr-Darii.
Lecz nie ta, co brzmiała wczoraj".

„Motywy przeszłości, które dźwięczą we współczesnej poezji kazachskiej, jeszcze wymowniej podkreślają teraźniejszość i zmiany jakie zaszły w życiu narodu" — zauważa Jakowlew. W wierszach kazachskich dostrzegamy wyraźnie ów zasadniczy rys współczesnej poezji wschodnich narodów radzieckich — socjalistyczną, nową treść — podaną w formie i w motywach narodowych.

Wśród poetów kazachstańskich obok Amanżołowa wyróżniają się Bekchożin, Żarkow, Mołdagaliew i Maulenowa. Jednocześnie kwitnie twórczość ludowych pieśniarzy-improwizatorów — akynów.

O ile w pieśniach akynów poezja kazachska miała swe tradycje, to proza była dla Kazachów zupełnie nowym i nieznanym gatunkiem literackim. Stąd szybkość z jaką młoda powieść kazachska dojrzała i dorównała najlepszym utworom innych narodów jest najlepszym świadectwem rozkwitu kultury w Kazachstanie. W roku bieżącym historyczno - biograficzna powieść Muchtara Auezowa poświęcona Abajowi Kunanbajewowi została zaszczycona nagrodą Stalinowską.

Auezow kreśląc literacko życie i działalność ojca literatury kazachskiej jednocześnie odtwarza historię Kazachów w XIX wieku. Książka odznacza się głębokim klasowym ujęciem tematu. Realizm socjalistyczny święci tu pełny triumf. Należy z radością przyjąć zapowiedź ukazania się jej w przekładzie na język polski. Obok historycznych powieści jak „Abaj" Auezowa lub „Batagoz" Mukanowa nie mniejszą popularnością i wśród autorów i wśród czytelników cieszą się powieści na tematy współczesne.

Powieść „Syr Daria" Mukanowa opowiada jak człowiek radziecki ujarzmił przyrodę kazachską i przemienił pustynię w żyzne pola uprawne. Gabiden Mustafin w powieści „Milioner" zajmuje się życiem i pracą kołchoźników kazachskich.

Wspólną cechą literatury kazachskiej jest jej wielka pogoda i głęboki optymizm. Cechy te są zrozumiałe jeśli się uwzględni trwający od trzydziestu lat rozkwit radzieckiego Kazachstanu. Literaturze kazachskiej udało się dokonać wielkiego przełomu w umysłowości społeczeństwa; Wschodni fatalizm, który często sprowadzał się do obojętności i bezczynności człowieka wobec sił przyrody potrafiła ona przemienić w wiarę w człowieka, w jego możliwości opanowania warunków naturalnych i ustawicznego udoskonalania form życia.

E. Adamow — Przy odpoczynku.

Tematem podobnym jak Auezow w „Abaju" zajął się dagestańczyk Effendi Kapijew w sławnej książce „Poeta", która wyszła u nas w przekładzie J. Pomianowskiego nakładem „Klubu Odrodzenia". Centralną postacią powieści jest Sulejman Stalski poeta kaukaski, którego Gorki nazwał Homerem XX wieku.

Postać Sulejmana służy Kapijewowi do przedstawienia dziejów narodu dagestańskiego i rewolucji kulturalnej w następstwie zmian społecznych i gospodarczych, jakie przyniósł ze sobą socjalizm do „dzikiego" Kaukazu.

W powieści tej autor przekonywująco obala nonsensowny zabobon o rzekomym podziale kulturalnym między Wschodem a Zachodem, broniąc słusznej tezy, że kultura jest niepodzielna.

Jednocześnie na przykładzie Kapijewa widzimy wyraźnie funkcję, jaką spełniają kultury ludowe — jedyne ożywcze źródła zasilające wspólny nurt kultury ogólnoludzkiej.

*

Tym, co łączy literaturę wszystkich narodów ZSRR, jest nie tylko realizm socjalistyczny i socjalistyczna treść utworów. W życiu Związku Radzieckiego są bowiem punkty ogniskujące szczególnie uczucia narodów radzieckich. Takim punktem jest miłość, jaką ludność wszystkich republik związkowych otacza twórców i budowniczych Związku Radzieckiego z Leninem i Stalinem na czele. Jednym z najlepszych utworów poetyckich, jakie ukazały się ostatnio w Kazachstanie jest „Nasz poemat" K. Amanżołowa poświęcony Stalinowi. Wywołał on podobne zainteresowanie jak niegdyś oda 90-cio letniego Dżambuła napisana na cześć wielkiej konstytucji stalinowskiej i powtarza na później we wszystkich językach Związku Radzieckiego.

„To — Prawo, co wszystkim nam radość przynosi,
To — Prawo, co w stepie urodzaj podnosi,
To — Prawo, co pieśnią rozbrzmiewa wśród ludzi,
To — Prawo, co młodość do wzrostu pobudzi.
— — — — — — —
To — Prawo, co czyni, że każdy jest bratem
W tym kraju szczęśliwym, rozległym bogatym".

Wojna Ojczyźniana przyniosła dalsze wzmocnienie ducha łączności socjalistycznej, przenikającego najdalsze zakątki ZSRR. Nawet 100-letni już niemal Dżambuł pisze gorące wiersze, zagrzewające do obrony, z których największą popularność w całym Związku Radzieckim uzyskał wiersz „Leningradczycy, dzieci moje".

Nikt w Związku Radzieckim nie uważa za sensacyjne zjawisko, że najlepszy utwór o bohaterskich obrońcach Leningradu, napisał nie kto inny jak właśnie Mamed Rahim z odległego Azerbejdżanu.

„Mróz w hali maszyn, wiatr ze śniegiem hula,
Dziewczyna wytrwa! Co tam mróz i kula!
Starzec i dziecko, choć zamieć, choć głód,
W te straszne dni oblężenia, blokady,
Wraz z żołnierzami wznoszą barykady.
Wrogom nie podda się Lenina gród,
„Zwycięstwo" — hasło, — odzew jego — „Stalin!".

Bohaterem utworów poetów kazachskich Mołdybajewa i Żantobetowa, pisanych w starej formie bohaterskich pieśni akynów, jest Malik Gabdullin, bohater Związku Radzieckiego.

Poeci wschodnich republik radzieckich lubują się w wielkich formach epickich. Formy te cechują okresy wielkich przemian w historii i rodzenia się nowych epok.

Utwory pisarzy azjatyckich ZSRR są wyzwaniem rzuconym kosmopolityzmowi w literaturze. Są one potwierdzeniem tezy, że nie inaczej lecz tylko na drodze rozwoju narodowych form twórczości wzbogaca się literatura ogólnoludzka. Są one dowodem jak twórcza jest współpraca i wymiana kulturalna, oparta na przyjaźni, jaka łączy socjalistyczne narody, o której pisze Tichonow w „Wiośnie gruzińskiej".

„Stalinowska ludów przyjaźń
Nad krajem tym zajaśniała...
— — — — — — —
Do majstrów przyszli gruzińskich
Majstrowie aż z gór Uralu...
Ci co pamiętają Tagil,
Pomną Czelabińskie dni".

Dzięki tej współpracy Azerbejdżanin Mamed Rahim przedstawiając realistycznie wypadki ostatniej wojny może czerpać z bogatego skarbca doświadczeń wielkiej literatury rosyjskiej:

„Poważny i srogi nastał nam czas,
Prawd jego nie wypowiesz,
Słów pustych brzękiem,
Poezja Rusi nauczyła nas
Jak łączyć prawdę z poetyckim wdziękiem".

Edmund Niziurski

KRYSTYNA MICHALIK-NEDELKOVIĆ

KRZYWE ZWIERCIADŁO ANGLOSASKIEJ KRYTYKI LITERACKIEJ

Obok przedstawicieli konstruktywnej krytyki literackiej, która chce być przewodnikiem szerokich rzesz czytelniczych z jednej strony oraz zachętą czy sygnałem ostrzegawczym dla twórców literatury z drugiej strony, spotykało się często i spotyka się jeszcze nieraz krytykę destruktywną, pełną osobistych porachunków, przesądów i ciasnej złośliwości. Rozkwita ona szczególnie w warunkach kapitalistycznego życia literackiego. Co powiedzieć o krytyce literackiej, która stale przekręca istotę utworu, wypacza go i lansuje o nim wręcz kłamliwe wyobrażenia? Czy należy spokojnie przejść do porządku nad nagminnym już zakłamaniem całej prawie krytyki literackiej krajów kapitalistycznych?

Ci wszyscy, którzy kiedykolwiek zajmowali się studiami nad literaturą krajów anglosaskich, a więc bliżej stykali się ze współczesnym dorobkiem literackim i literacko-krytycznym angielskim i amerykańskim, musieli sobie często zadawać te pytania. Ilekroć bowiem sięgali po dzieła i artykuły krytyczne anglosaskich znawców własnych literatur, z przykrością i zdziwieniem przekonywali się, że utwory największych pisarzy tych krajów sądzi się tylko pod pewnym bardzo wąskim kątem widzenia, że podkreśla się pewne, często nieistotne ich cechy, całkowicie ignorując to, co dla górnych klas jest niewygodne ideowo lub gorzej jeszcze, wypaczając zawartość ideową tych utworów do zupełnego niepoznania.

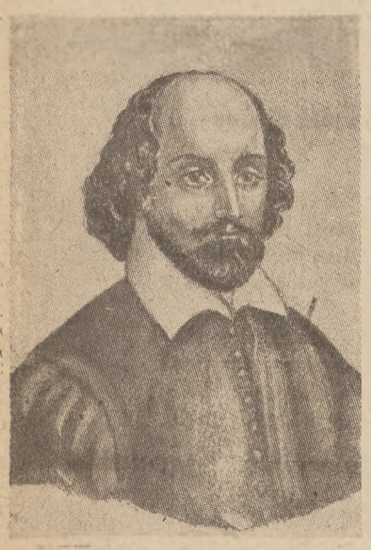

William Shakespeare rys. H. Hirszel

Nie uniknął takich operacyj wielki Szekspir, któremu niefortunni krytycy podkładali różne własne metafizyczne spekulacje, pomijając natomiast istotny realizm jego dzieł oraz umiłowanie i zrozumienie człowieka.

Wszak i u nas znaleźli się gorliwi naśladowcy tych zachodnich metod, poważnie się zastanawiający nad tym, czy Szekspir był katolikiem czy nie!

Angielscy krytycy chętnie rozgrzebują skandaliki miłosne z życia wielkiego poety Byrona, rozdzierają szaty nad czysto prywatną sprawą jego małżeństwa, natomiast mniej ochoty mają na oddanie sprawiedliwości walce Byrona z hipokryzją i zacofaniem angielskich sfer wyższych tej epoki. Takie traktowanie wielkiego poematu epicznego „Don Juan" Byrona jest najlepszym dowodem tej strusiej polityki przeciętnych krytyków anglosaskich. I w bieżącym roku, gdy cały świat obchodzi 125-tą rocznicę śmierci Byrona, krytyka angielska zdobywa się głównie na przeżuwanie jego życia prywatnego, niewiele uwagi zwracając na współdziałanie poety z wolnościowymi ruchami włoskimi lub na ostatnie, niepisane dzieło poety — walkę o wyzwolenie Grecji, której Byron świadomie złożył ofiarę nie tylko z życia, ale i przedtem jeszcze ze swego talentu poetyckiego, przestając pisać poezje, by móc tym czynniej działać dla sprawy odradzającego się narodu greckiego.

Pomijając dziesiątki podobnych przykładów z dziejów angielskiej krytyki literackiej, nie podobna nie wspomnieć o traktowaniu żyjącego jeszcze Bernarda Shaw, którego śmiałe wystąpienia przeciw wyzyskowi kapitalistycznemu starają się jego ziomkowie zbagatelizować i umniejszyć w wyrafinowany sposób, kreując go na zdziwaczałego oryginała, gadającego niestworzone historie dla taniego efektu, dla wywołania sensacji i dla popisania się swymi paradoksami. Niestety, i u nas zadomowił się ten wypaczony obraz Bernarda Shaw. Za dużo się cytuje jego błyskotliwych i złośliwych powiedzonek, a za mało zna się jego entuzjastyczne wypowiedzi o Związku Radzieckim: nie pamięta się, że Shaw od roku 1917 niezachwianie i z całą sympatią stał po stronie radzieckiej. Najjaskrawszym dowodem klasowej perfidii krytyków jest niewątpliwie stosunek do jednej z ostatnich wielkich sztuk Shawa z pierwszego dziesięciolecia między wojennego, mianowicie do „Wielkiego Kramu", którego prapremiera odbyła się w Teatrze Wielkim w Warszawie w roku 1929. Krytycy angielscy, tacy jak A. C. Ward, autor kilku książek traktujących o nowszej literaturze angielskiej, z uporem pragną w sztuce tej widzieć jeszcze jeden dowód „dziwactwa" Shawa, mianowicie apoteozę dyktatorów w rodzaju Hitlera czy Mussoliniego, podczas gdy oczywistą i jedyną intencją jej jest zdemaskowanie tak zwanej demokracji parlamentarnej typu angielskiego z królem na czele. Shaw wykazuje niezbicie w „Wielkim Kramie", że prawdziwymi władcami takiej pseudo-demokracji są tylko wielcy kapitaliści, przemysłowcy i bankierzy, w których posiadaniu znajduje się prasa, radio i reklama, którzy więc urabiają tak zwaną opinię publiczną; mając zaś kapitał w swym ręku, wywierają przemożny nacisk na ogół wyborców, na posłów a w końcu i na ministrów „demokratycznego" rządu.

Lord Byron

Sztuka Shaw'a wykazuje wyraźnie, że w dobie imperializmu parlamentarna demokracja jest skazana na nieuchronną degenerację, a na tym gruncie rodzą się dyktatury faszystowskie.

Nie dajmy się zahipnotyzować modzie krytyki anglosaskiej, która tendencyjnie wypaczała obraz wielkiego pisarza, gdyż śmiałe jego wystąpienia przeciw istniejącemu porządkowi kapitalistycznemu mocno jej musiały być niewygodne i niemiłe.

Jeśli pisarze angielscy, zwłaszcza postępowi, nie byli obiektywnie oceniani ani też w pełni doceniani przez swoich ziomków, to cóż dopiero powiedzieć o traktowaniu nowoczesnych postępowych pisarzy amerykańskich w ich własnej ojczyźnie!

Wystarczy przyjrzeć się, jak amerykańscy krytycy ustosunkowali się do twórcy realizmu w powieści amerykańskiej, Teodora Dreisera. Ten nawskroś postępowy pisarz, który pierwszy wskazał na ustrój kapitalistyczny i jego warunki społeczne jako na przyczynę cierpień i zguby jednostek, np. w znanej „Tragedii amerykańskiej", od początku był tendencyjnie i opacznie interpretowany i oceniany. Toteż nie z amerykańskiej krytyki literackiej należałoby czerpać wiadomości o tym wybitnym powieściopisarzu. Zamiast urabiać sobie fałszywe o nim wyobrażenie na podstawie złośliwych wypowiedzi krytyków, nie mogących mu wybaczyć jego postępowości, należy zwrócić się do radzieckich znawców literatur zachodnich, którzy mają o nim ścisłe i wyczerpujące dane, o czym przekonaliśmy się w ubiegłym roku w Krakowie po odczycie profesora Anisimowa, który niezwykle trafnie ujął dorobek literacki Dreisera, podkreślając fakt, że stał on twardo na gruncie materialistycznego światopoglądu i tłumaczył człowieka jako wynik istniejących warunków społecznych.

Młodszy od Dreisera John Steinbeck, którego pierwsze powieści były postępowe, aczkolwiek ostatnio już całkiem „pogodził się" z kapitalizmem amerykańskim, również spotykał się z celowym przemilczaniem tego, co faktycznie stanowiło zasadniczą myśl takich jego powieści jak „In Dubious Battle" („W niepewnej walce" — dzieje strajku) oraz „The Grapes of Wrath" („Grona gniewu" — dzieje bezrolnych i bezrobotnych farmerów). Gdybyśmy bezkrytycznie przyjęli to, co się w Ameryce o tych dwóch powieściach pisze, daleko odbieglibyśmy od prawdy. Wszak pierwsza z nich ma być „ostrą krytyką partii komunistycznej" (ale tylko chyba w pobożnych życzeniach recenzenta!), a druga, to utwór „symboliczny" i głównie „psychologiczny", według informacji ziomków Steinbecka, konsekwentnie stosujących politykę przemilczania niewygodnych faktów lub zupełnego wypaczania tego, co zagrażałoby uświęconym wierzeniom. Wsteczna krytyka literacka krajów anglosaskich odwraca się z oburzeniem od tego, co najbardziej postępowe i twórcze w kulturze narodowej.

Jedna stąd ważna płynie dla nas nauka: *by ze zdwojoną czujnością i ostrożnością przyjmować sądy i zdania anglosaskiej krytyki literackiej, która nie może być miarodajnym źródłem informacji o swojej własnej literaturze.* Musimy opierać się na obiektywnych danych krytyków postępowych, przede wszystkim radzieckich, musimy samodzielnie wytwarzać sobie sąd o zachodniej literaturze, względnie musimy z całą ostrożnością przesiewać materiał krytyczny zachodni, by z powodzi tendencyjnych naświetleń wyłowić tu i ówdzie nieliczne niestety postępowe głosy, noszące znamiona prawdy.

Krystyna Michalik-Nedelkovic

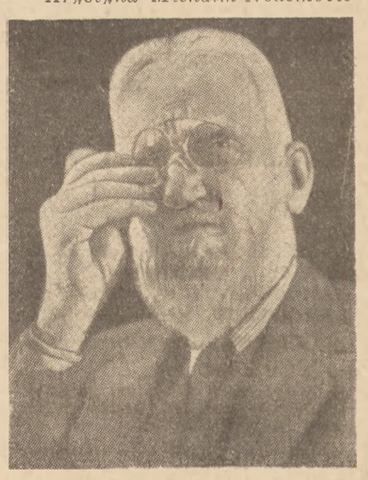

G. B. Shaw

W NUMERZE 46 (225) TYGODNIKA „WIEŚ" z dnia 13 listopada 1949 r.

Konkurs na reportaż: **L. Kosienlak** — Mój życiorys mówi o ustroju. **M. Kammari** — Stalin o rozkwicie kultur narodowych. **St. Arnold** — Lenin w walce o partię. **J.K. Maciejewski** — Wesele współczesnego Boryny. **St. Marczak-Oborski** — Wśród Janków - Muzykantów. **Fr. Halas** — Wspomnienie pośmiertne. **L. Sobierajski** — Lipce Reymontowskie. **J. Pogan** — Nauczyciel w małej wiosce. **St. Treugutt** — Goethe a Niemcy dzisiejsze. **Zdz. Tor** — Powieść o Niemczech. **S. Lasota, Z. Sawko, M. N. Listowski, Z. Kreguski** — Wiersze. **M. Ostrowski** — Jak hartowała się stal. **G. Tomala** — Na zapadłej wsi. **W. Swieradowski** — „Czarodziej sadów". **St. Orzeł** — Wieś budzi się! **Wł. Leszczyński** — Czeskie filmy. **M. Nowiński** — Dzisiaj inaczej.

Fakty i zdania. 8 stron. 17 ilustracji.

GUSTAW TOMALA

CZYN KONGRESOWY
BĄKOWEJ GÓRY

Wśród malowniczych pagórków północno-wschodniej części powiatu radomszczańskiego rozciąga się gromada Bąkowa Góra. Sama wioska leży u podnóża olbrzymiego pagórka, na którym znajdują się zabudowania jednego z wielu dworów Potockich. Gromada liczy 675 mieszkańców skupionych na 160 gospodarstwach o ogólnej powierzchni 545 ha. Przeważają gospodarstwa karłowate i średnie. Dwudziestu „gospodarzy" nie ma nawet po 1 ha, a dziewięćdziesięciu dalszych siedzi na parcelach sięgających od 1 do 4 ha. Ponad 4 ha ma tylko 48 gospodarzy. Tak wygląda sprawa dzisiaj, po reformie rolnej, dzięki której gromada otrzymała 140 ha z sąsiedniego folwarku. Przed reformą rolną było więc znacznie gorzej. Szczupłość chłopskiej ziemi wpływała na zaostrzenie się stosunków między gromadą a dworem. Chłopi dla lepszej, owocniejszej walki zgrupowali się w kole S.L. założonym jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej. Koło skupiało przeszło 70 członków, przeważnie chłopów małorolnych, chłopów, którzy rozumieli, że ustrój ówczesny, ustrój kapitalistyczny, to nędza i hamulec dla podniesienia się chłopstwa. Organizatorami roboty politycznej w Bąkowej Górze byli: obecny wojewoda łódzki — ob. Szymonek i poseł Kulka. Oni to prowadzili chłopów Bąkowej Góry i okolicy do walki z dworem, do walki z reżimem sanacyjnym. Pod ich przewodnictwem miejscowi eselowcy urządzali wiece protestacyjne, na których występowali otwarcie przeciwko dworowi, wskazywali gdzie leży przyczyna nędzy i wyzysku chłopa mało i średniorolnego, uczyli zebranych, jak powinno wyglądać życie wolnych, równych obywateli i wskazywali drogę wiodącą do tego życia.

Wrogim okiem patrzyli na eselowców chłopi bogatsi, administracja dworu, a nawet i „dworacy". Ci ostatni, wychowani w atmosferze dworu, w atmosferze ślepego posłuszeństwa „panu" nie tylko nie łączyli się z biednymi chłopami, stronili od nich, ale byli do nich nawet wrogo ustosunkowani. A w czasie reformy rolnej w roku 1945—46 nie chcieli nawet wchodzić do Komitetu parcelacyjnego bojąc się „narażać panowi".

Nie świadczy to oczywista o złej woli robotników dworskich, o ich wrogim stosunku do obecnej rzeczywistości, lecz dowodzi w jakim stopniu robotnik folwarczny był ujarzmiony przez dziedziców, jak izolowany od zewnętrznych wpływów. Jego świadomość klasowa była jeszcze słabo rozwinięta. Dziś jest już inaczej. Ale o tym mowa będzie później.

Po odzyskaniu niepodległości zaczęło się dla gromady nowe życie. Zaraz w 1945 roku przystąpiono do parcelacji dworu między byłych robotników dworskich i małorolnych gospodarzy. Ogółem rozdano robotnikom i chłopom 140 ha. Z tego średniorolni chłopi otrzymali po jednym i dwa ha, a byli robotnicy po dwa do czterech ha. Dwóch robotników dostało nawet po 6 ha. Chłopi byli bardzo ucieszeni z takiego obrotu sprawy. Inaczej rzecz miała się z robotnikami, którzy początkowo nie wierzyli, aby ziemia „ich pana" mogła stać się ich własnością. Parcelanci zabrali się szybko do pracy, stawiając na działkach zabudowania gospodarskie. W gromadzie, oprócz istniejącego już dziesiątki lat koła S.L. założono koło ZSCh i otwarto placówkę spółdzielczą. Koło S.L. urządza często zebrania, prowadzi akcję odczytową, prenumeruje kilkadziesiąt egzemplarzy „Zielonego Sztandaru", „Gromady" i innych czasopism. Podnosi to poziom wyrobienia politycznego i społecznego w całej gromadzie. We wsi istnieje siedmiooddziałowa szkoła podstawowa o sześciu siłach nauczycielskich. Nauczycielstwo bierze czynny udział w życiu gromady, prowadzi kursy dla analfabetów i kursy przysposobienia rolniczego. Te ostatnie cieszą się dużym powodzeniem, skupiają bowiem kilkudziesięciu uczniów. Młodzież Bąkowej Góry to duma gromady. Krząta się ona żywo wespół z nauczycielami wokół swoich analfabetów.

Młodzi zetempowcy, a zarazem członkowie S.P. są zapalonymi sportowcami. Od dawna poruszała ich chęć gry w piłkę nożną, siatkówkę. Nie mając boiska postanowili wybudować je własnymi siłami. Nie było jednak odpowiedniego placu. Z pomocą przyszedł na szczęście kierownik miejscowej szkoły, oddając chętnie na boisko ziemię należącą do szkoły. Ponieważ jednak boisko było za wąskie, kilkadziesiąt m² gruntu dołożył ksiądz. Junacy S.P. i gospodarze dali pracę i w rezultacie Bąkowa Góra ma ładny plac sportowy. Podczas gdy w innych gromadach można spotkać młodzież w święta, lub w wolne dni — w sklepach, przy kieliszku, to w Bąkowej Górze młodzież w tym czasie gra w piłkę. Młodzież innych gromad powinna iść ich śladem.

Chłopi w Bąkowej Górze przyjęli z zadowoleniem Kongres Zjednoczenia Partii Robotniczych. Obecnie, również bardzo gorąco przyjmują Kongres Zjednoczeniowy Stronnictw Ludowych. Radość tą ilustruje najlepiej Czyn Kongresowy gromady. Czynem tym jest przeprowadzenie kanalizacji. Jest to plan niezwykle śmiały, przy dobrych chęciach gromady i pomocy odpowiednich czynników zostanie na pewno zrealizowany ku pożytkowi gromady i chlubie powiatu. Czyn ten został uchwalony na zebraniu Stronnictwa Ludowego.

Projekt założenia kanalizacji został przyjęty przez mieszkańców gromady z radością, Bąkowa Góra bowiem, chociaż leży — jak pisałem — u podnóża pagórka nie ma wody. Próbowano tu już kopać kilkudziesięciometrowe studnie i wciąż bez efektu.

Dlatego gospodarze muszą jeździć po wodę aż na szczyt góry gdzie znajduje się sadzawka i gdzie z łatwością można wykopać studnię. Projekt więc przewiduje przeprowadzenie z góry do wsi rurociągu, którym woda bez żadnych pomp będzie dopływała do wszystkich gospodarstw. Realizacja projektu pociągnie koszty, których sama gromada nie zdoła pokryć.

Mieszkańcy Bąkowej Góry zwrócili się już o pomoc do Starostwa powiatu radomszczańskiego i Wojewody Łódzkiego. Czekają teraz odpowiedzi, aby zacząć pracę.

Gustaw Tomala

KOMUNIKAT DLA UCZESTNIKÓW KONKURSU

Redakcja „Wsi" podaje adresy niektórych miejscowości, gdzie uczestnicy Konkursu mogą uzyskać potrzebny do reportaży materiał.

Do tematu „Świetlica na wsi"

1. Bielsk, poczta Bielsk, pow. Płock, wojew. warszawskie.
2. Strupice, poczta Strupice, pow. Złotoryja, wojew. dolnośląskie.
3. Kasowo, poczta Milicz, pow. Milicz, wojew. dolnośląskie.
4. Harbutowice, poczta Skoczów, pow. Cieszyn, wojew. dolnośląskie.
5. Trzeboszowice, poczta Trzeboszowice, pow. Nysa, wojew. Śląsko-Dąbrowskie.
6. Gierdaczyn, poczta Wołczyn, pow. Kluczbork, wojew. Śląsko-Dąbrowskie.
7. Bralin, poczta Bralin, pow. Kępno, wojew. poznańskie.
8. Międzychód, poczta Międzychód, pow. Międzychód, woj. poznańskie.
9. Radostowo, poczta Strukowo, pow. Nowogard, wojew. szczecińskie.
10. Oborzany, poczta Dębno, pow. Chojny, wojew. szczecińskie.
11. Sadlinki, poczta Sadlinki pow. Kwidzyń, wojew. gdańskie.
12. Unieszywo, poczta Lebunia, pow. Lębork, wojew. gdańskie.
13. Blanki, poczta Kłębowo, pow. Lidzbark, wojew. olsztyńskie.
14. Świętojno, poczta Świętojno, pow. Szczytno, wojew. olsztyńskie.
15. Klementowice, poczta Klementowice, pow. Puławy, wojew. lubelskie.
16. Odrzykoń, poczta Krosno, pow. Krosno, wojew. rzeszowskie.
17. Miechocin, poczta Tarnobrzeg, pow. Tarnobrzeg, wojew. rzeszowskie.
18. Sonina, poczta Łańcut, pow. Łańcut, wojew. rzeszowskie.
19. Dębowiec, poczta Jasło, pow. Łańcut, wojew. rzeszowskie.
20. Ochotnica, poczta Ochotnica, pow. Nowy Targ, wojew. krakowskie.
21. Skała, poczta Skała, pow. Olkusz, wojew. krakowskie.
22. Dąbrowa, poczta Masłów, pow. Kielce, wojew. kieleckie.
23. Zbudowice, poczta Busko, pow. Busko. wojew. kieleckie.
24. Kamiczno, poczta Kamiczno, pow. Włoszczowa, wojew. kieleckie.
25. Stróża, poczta Andrzejów, pow. Łódź, wojew. łódzkie.
26. Spała, poczta Spała, pow. Rawa Mazowiecka, wojew. łódzkie.
27. Łobienica, poczta Łobienica, pow. Wyrzysk, wojew. bydgoskie.
28. Grebówno, poczta Miasteczko, pow. Wyrzysk, wojew. bydgoskie.

Do tematu „Ośrodki Zdrowia"

1. Laski, pow. Warszawa.
2. Serodz, pow. Pułtusk, woj. warszawskie.
3. Cechówka-Miłosna, pow. Warszawa.
4. Piaseczno, pow. Warszawa.
5. Łyczkowice, pow. Łowicz, woj. łódzkie.
6. Dąbrowa Zduńska, pow. Łowicz, woj. łódzkie.
7. Stryków, pow. Brzeziny, woj. łódzkie.
8. Łagów, pow. Opatów, woj. kieleckie.
9. Staszów, pow. Sandomierz, woj. kieleckie.
10. Boćki, pow. Bielsk Podlaski, woj. białostockie.
11. Sejny, pow. Suwałki, woj. białostockie.
12. Kalbudy, pow. Gdańsk.
13. Jakcice, pow. Inowrocław, woj. pomorskie.
14. Świdnin, pow. Białogard, woj. szczecińskie.
15. Nowa Wieś, pow. Wirch, woj. dolnośląskie.
16. Wójtowa Wieś, woj. dolnośląskie.
17. Kuźnia Raciborska, woj. dolnośląskie.
18. Liszki, pow. Kraków.
19. Bronica, pow. Kraków.
20. Lipnik-Markowa, pow. Łańcut, woj. rzeszowskie.

Do tematu „Chłopski Czyn na Zjednoczenie" ruchu ludowego (27.XI.1949 r.)

1. Gmina Ludzimierz, pow. Nowy Targ, woj. krakowskie (budowa dróg i miasta).
2. Rudniki, pow. Wieluń, woj. kieleckie (naprawa i oświetlenie drogi).
3. Sowarzewo, pow. Środa, woj. poznańskie (elektryfikacja wsi).
4. Gmina Opalenica, pow. Nowy Tomyśl, woj. poznańskie (pomoc w budowie spółdzielni produkcyjnej).
5. Barcin, pow. Miastko, woj. szczecińskie (odbudowa domu ludowego, oświetlenie dróg, likwidacja analfabetyzmu).
6. Tuna, pow. Kępno, woj. poznańskie (radiofonizacja).
7. Kossosz, pow. Biała Podlaska, woj. białostockie (założenie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska").
8. Bielice, pow. Niemodlin koło Opola (deklaracja założenia spółdzielni produkcyjnej).
9. Srebrna, pow. Łódź (deklaracja założenia spółdzielni produkcyjnej).
10. Gmina Cyzów, pow. Chełm Lubelski (roboty melioracyjne na szeroką skalę).
11. Podstolin, koło Tłuszcza, pow. Radomsko (umasowienie ruchu ludowego).

Do tematu: Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska"

Adresami i wszelkimi informacjami służą Oddziały Okręgowe Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", mieszczące się:

1. Warszawa, ulica Stawki 4.
2. Łódź, ulica Próchnika 1.
3. Lublin, ulica Bernadyńska 18.
4. Rzeszów, ulica Kolejowa 10.
5. Radom, ulica Żeromskiego 31.
6. Kraków, ulica Warszawska 4.
7. Katowice, ulica Zaprska 10.
8. Wrocław, ul. Dąbrowskiego 46.
9. Poznań, Pl. Wolności 18.
10. Szczecin, ulica Dworcowa 2.
11. Gdańsk, ulica Kliniczna 2a.
12. Bydgoszcz, ul. Chodkiewicza 25
13. Olsztyn, ulica Ogrodowa 7.
14. Białystok, ulica Artyleryjska nr 2/3.

FAKTY I ZDANIA

MOJA WIEŚ

Do czasu ostatniej wojny, najmądrzejszym człowiekiem w mojej wsi był dziedzic i bogaty chłop — przewodniczący komitetu parafialnego. Oni to zdecydowali, że we wsi ma być spółdzielnia, sklep, mleczarnia, remiza strażacka, orkiestra. Śmiałków, którzyby im się przeciwstawili nie było. Jakkolwiek wieś moja była i jest zamieszkała przez małorolnych i kilku średniorolnych chłopów, nie zakorzeniła się tu nigdy idea ruchu ludowego.

Natomiast moja wieś była i jest przodującą wsią w parafii, pod kątem udziału w stowarzyszeniach, organizacjach kościelnych i uczestnictwa w pielgrzymkach na odpusty do Wymyślina.

Do tej pory wieś moja na wszystko co nowe, patrzyła z niedowierzaniem. Patrzyła z niedowierzaniem na kopaczkę, traktor i motor do młockarni — dziś ten konserwatyzm bierze w łeb! Ludzie wyrywają sobie maszyny z rąk — ale jest nam ciężko „zbudować" własną chłopską organizację. Nie powzięliśmy jeszcze żadnej decyzji ani uchwały — jakim czynem uczcić połączeniowy Kongres Stronnictw Ludowych?!

A przecież dziś wieś moja wierzy już nawozom sztucznym, bo milej jest zbierać z hektara 16 korcy żyta niż 11, jak dawniej. I nowym czasom uwierzy, choćby dlatego, że na wsi stanęło po wojnie kilka jasnych, murowanych, krytych blachą domów. A ogłaszana przez ludzi wrogich za „kołchoz" Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" stała się dobrodziejstwem wsi. Wieś nie wiezie już do oddalonego Lipna tucznika, ażeby po drodze „gubił kila"; na miejscu nabywa węgiel, nawozy, materiał budowlany, korzysta z usług Ośrodka Maszynowego. Byt materialny mojej wsi po wojnie podniósł się znacznie w stosunku do stanu przedwojennego. Jednak oświata i uświadomienie polityczne nie idą z nim jeszcze w parze, nie mogą nadążyć i dorównać mu kroku.

Kulturalne życie wsi nie zostało ujęte w prawidłowe ramy. Mamy lokal świetlicowy w budynkach państwowego majątku, ale wieś nie umie go wykorzystać. Poza biblioteką, jaka się w nim mieści, nic się tam nie dzieje. Starsi ze wsi nawet stronią od majątku, bo wydaje im się, że to „dwór", a z „dworusami" stara wieś nie chce mieć nic wspólnego, jako z niższą od nich, „gospodarzy", kastą ludzi.

Nieszczęściem mojej wsi jest, panowanie nad nią trzech spokrewnionych i skumotrowanych rodzin o nastawieniu reakcyjnym. Panowali nad nią przed wojną, panują obecnie. Mieszkają obok siebie, stąd mają łatwość porozumienia się — gdy większość mieszkańców jest rozrzucona daleko poza wsią. Oni to są motorem wstecznictwa w mojej wsi,

W. Grawicz

NA KURSIE DLA ANALFABETÓW

Poniektórzy mieszkańcy wsi Jeruzalem podśmiewali się z uczestników kursu dla analfabetów. Aż utarł im nosa przychodzący na kurs, z sąsiedniej wsi Kamiona, 63-letni chłop ob. Janus J., właściciel 1½ hektarowego gospodarstwa, kiedy na zebraniu gminnym powiedział:

„Głupi są ci, co się śmieją. A śmieją się, bo się wstydzą, bo sami źle, albo wcale nie czytają i wstyd chcą śmiechem pokryć! A czego wy się wstydzicie chłopy?! Niech się za nas wstydzą ci, co nas czytać i pisać nie nauczyli. A nie nauczyli, bo dawniejszym rządom tylko na tym zależało by chłop i robotnik był jak najgłupszy, bo na głupim można więcej zarobić; bo oni ludzi mądrych, to więcej się bali jak diabeł święconej wody. A wyście im uwierzyli, że chłopu oświata niepotrzebna. To jest nieprawda. Człowiek, który nie umie dziś pisać i czytać jest jak ślepy, który nie widzi piękna życia, nie wie jak żyć i, gorzej, nie może być dobrym obywatelem. Ci co wam dziś mówią: nie uczcie się — to ja dokładnie wiem, że to reakcja. Jej nie w smak, że my, chłopy, się uczymy, bo to znaczy, że już nie będziemy słuchać jej propagandy, jak będziemy umieli czytać.

Jak mnie tu wszyscy, bracia chłopy, znacie na tym zebraniu i wiecie kim jestem, tak czysto po chłopsku apeluję do was: wszyscy chłopi do nauki, bo przez naukę będziemy mieli dobrobyt w Polsce Ludowej".

Tadeusz Krakowiak
wieś Lisna

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 23 i 76.
Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik", Marszałkowska 3/5.
B-90048

Redakcja „WSI" ogłasza
KONKURS na REPORTAŻ

Nagrody:

I nagroda (Ministerstwo Kultury i Sztuki)	200.000 zł.
II nagroda (Ministerstwo Rolnictwa)	150.000 „
III nagroda (Centrala Rolnicza Spółdzielni „Samopomoc Chłopska")	100.000 „
3 następne nagrody po 50.000,— zł. (Zarząd Gł. Zw. Samopomocy Chłopskiej)	150.000 „
2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Oświaty)	100.000 „
2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Lasów)	100.000 „
2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Poczt i Telegrafów)	100.000 „

Nagroda Z.S.Ch. zostanie przyznana za prace, które nawet przy mniejszych walorach literackich, wyróżnią się szczególnie klasowo słusznym ujęciem zagadnień dzisiejszej wsi.

Nagroda Ministerstwa Oświaty — za najlepsze prace, nadesłane przez pisarzy — nauczycieli wiejskich (prosimy autorów nauczycieli o zaznaczenie przy godle lit. N.).

Tematy reportaży:

1) spółdzielnia produkcyjna
2) Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska"
3) Koło gromadzkie—komórka podstawowa Związku Samopomocy Chłopskiej
4) Ośrodek maszynowy
5) Ośrodek zdrowia
6) grupy plantatorów i hodowców
7) Państwowe Gospodarstwa Rolne
8) Współzawodnictwo pracy
9) świetlica na wsi
10) likwidacja analfabetyzmu
11) czytelnictwo na wsi
12) zespół samokształceniowy
13) zespół amatorski
14) twórczość ludowa
15) poczta na wsi
16) kobieta wiejska dziś
17) opieka nad dzieckiem wiejskim
18) awans młodzieży chłopskiej:
a) ze względu na możliwości wewnętrzne wsi,
b) do miast (studia, zawody, przemysł)
19) działalność organizacji politycznych i społecznych: P.Z.P.R., S.L., Z.S.Ch., Z.M.P.
20) sport na wsi
21) chłopski czyn na zjednoczenie ruchu ludowego (27 listopada 1949 r.)
22) ruch łączności wsi i miasta

Warunki konkursu:

Reportaż, zaopatrzony godłem, winien być nadesłany Redakcji Tygodnika „Wieś" (Warszawa, pl. Starynkiewicza 7) w nieprzekraczalnym terminie **do dnia 31 grudnia 1949 r.**

W osobnej zamkniętej kopercie, zaopatrzonej na zewnątrz godłem, należy umieścić nazwisko i adres autora (niepublikujący dotychczas autorzy winni załączyć życiorys).

Reportaż nie powinien przekraczać 16 stron maszynopisu z interlinią.

Reportaż w miarę możności winien być uzupełniony materiałem fotograficznym lub graficznym (zdjęcia, rysunki) z opisywanej wsi.

Redakcja Tygodnika „Wieś" zastrzega sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonych prac.

Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w numerze tygodnika „Wieś" z dnia 19 lutego 1950 r.

Nagrody będą rozdane dnia 18.II.1950 r.

Skład Jury:

1) Marszałek Sejmu — **Władysław Kowalski**
2) Autor „Stare i Nowe" — **Lucjan Rudnicki**
3) Z ramienia Min. Kultury i Sztuki — **Jan Wilczek**
4) Z ramienia Min. Oświaty — **Władysław Ozga**
5) Z ramienia Min. Rolnictwa — **Piotr Greniuk**
6) Z ramienia Instytutu Badań Literackich — **Stefan Żółkiewski**
7) Z ramienia Związku Zawodowego Literatów Polskich — **Anna Kamieńska-Śpiewakowa**
8) Z ramienia Polskiego Radia — **Romuald Gadomski**
9) Z ramienia Zarządu Gł. Związku Samopomocy Chłopskiej — **Stefan Ignar, Bodalski Mieczysław, Wacław Schayer, Franciszek Jaszczuk**
10) Z ramienia Redakcji „Wsi" — **Jan Aleksander Król, Leonard Sobierajski, Maria Żmigrodzka, Wiesław Jażdżyński**

Zespół Redakcyjny Tygodnika „W I E Ś"